

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 21 WRZEŚNIA 1929 ROKU

NR. 38

TREŚĆ NUMERU: Polityka pokoju a kobiety—*Jadwiga Krawczyńska*. Małżeństwo wobec równouprawnienia—*M. Benisławska*. Poezje: „Podróż do Arabji szczęśliwej“, „Usta i pełnia“, „Poranek“—*Konstanty I. Gałczyński*. Zawalidroga (d. c.)—powieść — *Herminja Naglerowa*. Z wędrówki — *M. H Szpyrkówna*. Tragizm konieczności — *Stefanja Podhorska-Okolóm*. Nowy talent rzeźbiarski—*H. N. Mowa kobiet* — *S. Ol.* Anglja na progu jesiennego sezonu — *Han. Skar.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *Zofja Jachnisowa*. Osiedle uniwersyteckie w Paryżu — *M. D.* Reorganizujemy nasze ogniska domowe—*mar. mor.* Hiacynty — *Stan. Schönfeld*. Grzybowe przysmaki — *Prof. Feliks Teodorowicz*. Kukurydza—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty“: Quatre pièces — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

POLITYKA POKOJU A KOBIETY

Nazwy i epitety szybko się pospolitują. Szyldy się wycierają. Symbole stają się pośmiewiskiem tłum. Nie, iżby straciły swoją treść wewnętrzną, ale, że na manowcach kompromisów i obłudy przystrojono je w tyle cudzych piórek, w tyle pstrych łachmanków, iż nadwyrężono im własne skrzydła i skażono czystą nagość prawdy.

Tak tedy mówi się dziś już z przekąsem lub z fałszywym niedowiarstwem o pacyfizmie, który jest i bardzo stary i bardzo młody. Stary, jako pojęcie, idea — młody, jako nazwa i zorganizowana akcja. Tymczasem to stare dziecko ma przed sobą całą przyszłość, potrzebuje tylko piastunki i to piastunki z gorącym sercem i pełnej poświęcenia, niecofającej się przed żadnym wielkim trudem... Upatrzono mu na piastunkę kobietę. Czyż to dziwne? Od niej oczekuje ludzkość otwarcia nowej ery. A może ona sama dobrowolnie i ochotnie, ona, „pani miłosierdzia“, wzięła na swoje barki macierzyńskie zadanie?

Chociaż jeszcze starożytni myśliciele przypuszczali możliwość, bodaj abstrakcyjną, istnienia świata pokoju, świata, w którym narody żyłyby bez wojny, to jednak dopiero sam początek wieku XX przystąpił do realizowania tej idei. Na 10 lat zaledwie przed wielką wojną skryształizowały się organizacje i metody pacyfistycznej działalności. Ogarnęły one nieliczne stosunkowo kręgi ludzi. Była to nowość, początek sprawy, której nie wrócono powodzenia. A potem wojna — zdawało się, że pogrzebie wszelkie nadzieje i urojenia gołębih serc, które chciały raj ustanawiać na ziemi...

Jeszcze świat dobrze nie ocknął się z barbarzyństwa wojny, gdy, ponad zamkniętymi granicami wojujących państw, przelatująca zaczęły pierwsze wici działaczy pokojowych, zwołujących do zjednoczenia wysiłków. Czynna misja przypadła w udziale kobietom Ameryki i Europy. Podjęły hasło znakomitej pionierki, Berty Suttner: „Precz z orężem!“.

W krótkim czasie — bo czemuż jest 10 lat w dziejach ludzkości — ustaliły współpracę kilkudziesięciu narodów świata. Zwołały i odbyły kilka międzynarodowych kongresów pokojowych, przeprowadziły szereg ankiet, spowodowały wiele konferencji między przedstawicielkami krajów dotychczas wrogich sobie, wiodą agitację na wszelkich terenach, nie wyłączając oficjalnej polityki rządów i wpływu na genewską Ligę Narodów.

„Liga Międzynarodowa Kobiet Pokoju i Wolności“, czy też bardziej doraźne cele mająca „Reconciliation Internationale“, współpracują z różnemi towarzystwami pacyfistycznymi, zachowują jednakże odrębność organizacji czysto kobiecej, niezawodnie w przekonaniu, iż łatwiej osiągną jednomyślność programu i pracy, a także uchronią swą ideę od zakażenia bakcydami politycznych, aktualnych kompromisów.

Jeśli dziś kierujący politycy Europy, których nie można posądzać o brak sceptycyzmu, wygłaszają entuzjastyczne zapewnienia i deklaracje o ustanowieniu pokoju powszechnego i pokojowym rozstrzygnięciu zatargów, o rozbrojeniu na obu półkulach świata — to nie dlatego, by wierzyli, iż potrafią rozwiązać te

zagadnienia, iż możliwe jest rządzenie państwami i współzycie narodów bez bicia wojny — lecz jedynie i wyłącznie dlatego, iż rozumieją, że realną koniecznością polityki współczesnej staje się taki obrót rzeczy... I że, jeżeli nie zdołają na takie tory wprowadzić polityki współczesnej, to *skończą przegraną na całej linii...* Konieczność akredytowania czynnika pokoju w rachubach politycznych jest tak dziś potężna, tak stanowczo żądana przez ludy i społeczeństwa ze względów czysto praktycznych i gospodarczych, że mężowie stanu liczyć się z tem muszą — a nie mogąc, czy nie umiejąc wierzyć, nie mogąc, czy nie umiejąc pogodzić dzisiejszej konstrukcji świata z dążeniami przyszłościowemi, opartemi na organizacji stałego pokoju i eliminacji wojny — szukają wyjścia w gestach politycznych, we frazesach i mowach na forum międzynarodowym... Ale zarówno Protokół Genewski, jak Pakt Kelloga, jak deklaracje ministrów w Lidze Narodów, potępiające wojnę, jako zbrodnię międzynarodową — mimo pozornej pustki formalistycznej, mimo abstrakcyjności swej i niedowiarstwa — mają potężne znaczenie, jako stwierdzenie opinii, płynącej z dołu, od olbrzymich rzesz społecznych.

A w masach tych, wyrażających swą emocjonalną wolę, swoje żywiołowe, choć może nieliczące się z trudnościami szybkiej przemiany żądania, potężną rolę odgrywają kobiety. Te niewykształcone, nieświadomione, instynktem nienawidzące wojny, która zabiera im mężów i dzieci, dobrobyt i zdrowie — zarówno, jak i te, które głębokim rozumem i z pobudek humanitarnych i etycznych wydały wojnę — wojnie.

Stosunek kobiet do zagadnienia wojny i militarizmu jest z natury *rzeczy wolny od fałszu*, jakiemu ulega przeciętny mężczyzna, wychowywany przez wieki w kulcie dla wojennych swych zadań i — nawet, jeśli w głębi duszy im przeczy — obowiązkiem wstydzający się swej „słabości“. Kobieta może być otwarciem wrogiem wojny i masowych mordów między narodami. Każdy zrozumie w tem jej macierzyńskie posłannictwo, jej instynkt kochania i pokoju domowego ogniska — rozszerzone na społeczeństwo, na naród i ludzkość.

Jakkolwiek więc polityczne zakłamanie, płynące z oficjalnych źródeł i tradycji narodowych, wywiera hamujący do pewnego stopnia wpływ na akcję pokojową organizacyj kobiecych, to jednak swoboda, odwaga i szczerłość wobec zagadnień pacyfizmu, są wśród kobiet znacznie większe, niż wśród ogółu mężczyzn.

Pacyfizm w swej czystej postaci w niczem nie uwłacza ani miłości ojczyzny, ani patryjotyzmowi narodowemu. Pozwala szerzej dzielić się narodom między sobą zdobyczami kultury, i na tem opiera swą chwałę. Przeciwdziała tylko wojnie i temu wszystkiemu, co ją bezpośrednio i pośrednio wywołuje.

Gdyby zanalizować treść obrad i uchwał sze-

ściu dotychczasowych kongresów międzynarodowych „Ligi Kobiet Pokoju i Wolności“, w których stale uczestniczą przedstawicielki Polski — rozwinąłby się z nich cały łańcuch wskazań, jakie kobiety całego świata — europejki wszystkich krajów, amerykanki, azjatki, hinduski, japonki i chinki, afrykanki-murzynki — zgodnie przyjmują jako wytyczne swej działalności i starań na terenie swych różnolitych krajów.

A więc uchwały te mówią o dążeniu do redukcji, do redukcji i usuwania armij oraz wykorzeniania militarystycznych dążeń w narodach, mówią o przeciwdziałaniu, zapomocą opinii i działalności w parlamentach i rządach, fantastycznym, rosnącym wciąż rozmiarom zbrojeń na lądzie, morzu i w powietrzu, pochłaniających kolosalne sumy majątku i dorobku narodów, podtrzymujących ducha zawziętości i odwetu między państwami.

Olbrzymie wrażenie wywarł w roku ubiegłym kongres pacyfistek we Frankfurcie, gdzie „Liga“ manifestowała, przy pomocy powag naukowych, specjalnie przeciw wojnie gazowej i popieraniu wynalazków i naukowych badań, służących nikczemnemu celowi niszczenia ludzkości.

A obok tego, wcale niedrugorzędne przyczyny wojen: *antagonizmy gospodarcze*, wojny celne i ekonomiczne, rujnujące społeczeństwa; ograniczenia komunikacyjne i paszportowe; przerost finansjery, spekulującej na szerokich masach. Przeciwnik tym bolączkom, współczesnym i zastarzałym, powstaje akcja pacyfistek.

Wyrazem tych dążeń był np. ostatni, w początkach września b. r. odbyty Kongres „Ligi Pokoju i Wolności“ w Pradze, który wysunął żądanie unifikacji monetarnej i zwołania międzynarodowej konferencji ekonomicznej z rzeczoznawcami w celu rozpatrzenia postulatów pokojowego współzycia narodów. W takim bowiem współzyciu widzą przyjaciele pokoju jeden z najlepszych środków swej akcji. Nacjonalizmy, pełne zatruć nienawiści narodu dla narodu i człowieka jednej kultury i języka do człowieka innej rasy, muszą ustąpić wzajemnemu zrozumieniu i życzliwości. Gnębienie słabszych narodowości, niszczenie ich aspiracji do rozwoju własnej kultury, tępienie ras „niższych“ pod pretekstem rzekomego niesienia im kultury, wyzysk pracy jednych dla drugich — nie mogą zagrażać współpracy i muszą być potępione.

Wielką wagę przywiązują uchwały „Ligi“ do *wychowania młodzieży* i poznania się wzajemnego narodów. Ignorancja bowiem jest w 90% matką zła, pogardy, nienawiści i wyzysku słabszych przez silnych. A więc żądają kobiety całego świata, by np. naukę historii w szkołach traktować nie pod kątem widzenia wojen i zdobyczy terytorjalnych państw, lecz z punktu widzenia rozwoju kultury narodów i ich udziału w postępie ludzkości. By czytanki dla

młodzieży i literatura budziły uczucia szlachetne i wykorzystaniały antagonizmy społeczne, rasowe i religijne. Poza tem wymiana międzynarodowa młodzieży i nauczycielstwa, wzajemne odwiedziny w różnych krajach, wycieczki zagraniczne i wymiana intelektualna (dla której pod egidą Ligi Narodów stworzono specjalny Instytut w Paryżu) — oto ważniejsze środki do celu.

W propagandę swych hasel kładą pacyfistki wiele szczerego entuzjazmu i wiele kompetencji. Przewodniczą „Ligom Kobiet Pokoju i Wolności” w poszczególnych krajach najwybitniejsze jednostki, odznaczające się znacznym wpływem na terenie swej działalności. Przyszłość pokojowego układu świata bezwątpienia znajdzie się w rękach kobiet. Ale muszą one mieć po temu bezpośrednie środki działania — muszą wejść na pole czynnej polityki i dyplomacji. Nie znaczy to, że będą prowadziły politykę lub kierowały ambasadami tak, jak to robi się dotychczas. Być może — i tak należy przypuszczać — że będą to robiły zupełnie inaczej.

Wspomniany już kongres praski wysunął między innymi śmiałe hasło: *niech będą zniesione mini-*

sterstwa wojny! Niech na ich miejsce powstaną ministerstwa pokoju!

Trudno sobie wyobrazić, by z takim hasłem mógł się ostać dotychczasowy system polityki i dyplomacji, który nazwijmy grzecznie — zmurszałym.

Kobieta, jako czynnik pokojowej polityki i współpracy narodów, nieodzownie zmieni bieg historii. Przykład kobiet, które sprawowały wyjątkowo rządy, posługując się metodami równie krwiożerczymi, jak ich poprzednicy i następcy mężczyźni, nie byłby argumentem przeciw temu twierdzeniu: kobiety bowiem dziś występują na arenę z własnymi koncepcjami, wyrabiającymi się w masach ludowych i narodowych.

Od kobiet oczekuje upadający świat przeszłości — nowych form życia i wcielenia nowych idei, mogących ocalić i odrodzić ludzkość — tak mówią i piszą sami mężczyźni, składając na ich barki odpowiedzialność...

Od kobiety oczekuje świat zbawienia, wierzy, że będzie rodzicielką nowej ery — Pokoju.

Niema chyba na świecie większego, ponad to zadanie, macierzyństwa. *Jadwiga Kramczyńska.*

M. BENISŁAWSKA

MAŁŻEŃSTWO WOBEC RÓWNOUPRAWNIENIA

„Małżeństwo to zawód” — te znamienne dla epoki naszej słowa padły z „Naszej Mównicy”.

Jeżeli zawód, to taki, do którego należałoby wymagać cenzusu bardzo wysokiego i bardzo wszechstronnego, do którego zwłaszcza trzebaby mieć bardzo wyraźne powołanie. Tymczasem cenzusu nie wymaga nikt od nikogo. (czasem majątku, milej powierzchowności, przynależności do danej „sfery” i t. d., ale to zależy od indywidualnej fantazji dwojga) — a powołanie mają... wszystkie, z bardzo nielicznymi wyjątkami, powołanie to jednak zawiera się w wyznaniem lub nie wyznaniem głośno: „ja chcę wyjść zamaż”, nie zaś: „ja wiem i czuję, że obowiązki, jakie włoży na mnie ten zawód, pełnić będę uczciwie i radośnie”.

Cóż więc dziwnego, że małżeństwo tak nielicznym kobietom (a i mężczyznom) daje maximum godziwie wymagalnego szczęścia t. j. moralne zadowolenie.

Kobieta może wyjść zamaż w wieku, w którym nie wolno nikomu występować zupełnie samodzielnie, jako jednostka prawna; — szesnastoletnie dziecko może już nawet — choć za zezwoleniem rodziców — zobowiązać się być żoną. Może to uczynić najzupełniej bez względu na swoje przygotowanie do wymo-

gów życia, stan rozwoju fizycznego i intelektualnego. Pełnoletność tu nie jest obowiązująca.

A powołanie? Za objaw powołania uważa się t. zw. „zakochanie się”. Wiemy dobrze (o ile to nie o nas chodzi), jak dalece zawodny to i przemijający symptomat, a przecież tak mało dokładamy starań, aby uodpornić dziewczęta (i chłopców) przed porywami tego rejestru, gdzie zmysły lub wyobrażenia, rozpalona lekturą i szeptami towarzyszek, gra wybitną, często jedyną rolę, aby wyładować się, jak nagromadzona elektryczność i — przemiąć.

A przytem małżeństwo to „fach” — nietylko żony, ale i matki. Zazwyczaj dziewczęta, które wyraźnie nie lubią dzieci, choć się je zapewnia, że „swoje własne” będą lubiły, są bardzo lichemi matkami i nawet wtedy, kiedy poczuwają się do obowiązków wobec swych dzieci, pielęgnowanie ich i wychowywanie jest udręką zarówno dla nich, jak i dla ich dzieci.

Przygotowanie do „małżeńskiego fachu” powinno być potrójne: żona, matka, gospodyni. Często — najczęściej — jest żadne. Praktyka macierzyńska odbywa się na koszt nieszczęsnego pierworodnego, teoretykę przelżyka się najwyżej w postaci jakiejś książeczki, odrzuconej niebawem, bo nie dającej się przenieść całkowicie do życia. Wykształcenie nawet i wyższe

(fach jednak inny—nie małżeństwo!) nie pomoże. Pracować, czy nie pracować zawodowo—to głos decydujący będzie miał budżet rodziny. Ale, czy pracując, czy nie pracując poza domem, kobieta, gdy wzięła na się obowiązki, których pełnienie jest dla niej ciężarem i zgryzotą, nie będzie i być nie może szczęśliwą. Zadowolenie, niekiedy pomimo bardzo nawet ciężkich warunków zewnętrznych, da niechybnie tylko praca umiłowana, ta, której oddamy nie tylko całe siły — ale i całą duszę.

A gospodarstwo — zarząd domem?... prowadzi się to „improvizacyjnie“ w nadziei, że młoda gospodyni „jakoś się włoży“: — sposób bardzo kosztowny nabywania wiedzy, a pewny — nabycia złych nawyków. Dopóki spowodowany przez nieumiejętność ubytek, zabierał tylko nadmiar, można to było tolerować, dziś nie umieć się rządzić — to dom swój pograć w nędzy, w tej specyficznej nędzy bezładu i szarpania się, która stanowi idealne podłoże dla wszelkiej moralnej deprawacji.

Cóż wreszcie dzisiaj bywa przygotowaniem do umiejętności życia we dwoje? Dawniej pani - matka chowała córkę w domu, zaprawiając ją do zajęć gospodarskich, a zarazem wpajając, jak dogmat, wiarę, że kobieta jest prosto dla mężczyzny — dla męża i dzieci — bez reszty. Nowoczesne życie stawia zagadnienie sprawiedliwego współżycia dwu równouprawnionych, a bardzo różnych psychologicznie i fizjologicznie istot ludzkich, istot przeżywających czasy ciężkie, przewrotowe w układzie wzajemnych stosunków.

Kobieta, emancypując się, wypowiedziała poniekąd wojnę mężczyźnie. — wygrała, już nie jest czemś dla mężczyzny, jest niezależną moralnie i materialnie istotą ludzką, jemu równą. Ale jednak po dawnemu ludzie kochają się, żenią, wychodzą zamaż, mają dzieci... tylko, gdy to wszystko się dzieje na tle rozdrażnień powojennych, a poniekąd wojennych, niezmiernie trudno jest o lojalne współżycie, któreby powinno wziąć za podstawę nie żadne „zmaganie się“, tylko pokojowy układ, podmurowany najgłębiej i najszerszej idącym poczuciem sprawiedliwości, wzajemnym zrozumieniem, przyjaźnią, szacunkiem i sympatją. Nie dlatego ludzie są ze sobą nieszczęśliwi, że się „już nie kochają“, tylko że się *nie lubią* wzajem. Żyjąc razem, można się kochać — można się i nie kochać, ale nie wolno nie lubić się wzajemnie.

Wśród każdej wojny strony walczące zatracają właśnie owo lubienie się, tę wzajemną sympatję, umożliwiającą wszelką współpracę, czy idzie o jednostki, czy o narody całe — wszystko jedno!

Koniecznym więc przygotowaniem do małżeńskiego współżycia jest przede wszystkim psychiczne nastawienie się pokojowo, tak kobiety, jak i mężczyzny — wzajemnie. Dość wojny! Już kobieta wygrała wojnę o ludzką swoją jaźń. Teraz czas na pokojowe rozejście się we wzajemnym stosunku, na dostosowanie się w pracy do indywidualnych różnic, tak, by podział wypadł korzystnie dla stron obu, by życie by-

ło wzajemnym dopełnianiem się, nie zaś szarpaniem się jałowem.

Szkopułem bardzo ciężkim do przewyciężenia jest wrodzone, ogólne ludzkie lenistwo psychiczno - intelektualne. Gdy życie przez czas dłuższy toczy się korytem równo utorowanym, zasypiamy w błogim bezczynnie. Jest źle, czy dobrze? Przystajemy nad tem zastanawiać się dla... „świętego spokoju“. Ale chcemy, czy nie, nastaje chwila, gdy trzeba będzie przetrzeć oczy, trzeba przyznać, że spokój nie był święty, lecz zbrodniczy, dzieje się bowiem niesprawiedliwość, krzywda powstaje i szuka — niestety — odwetu. Dokonywa się przewrót. Ferujemy wyroki, piszemy mądre, sprawiedliwsze prawa i... powracamy do dawnych nastawień się psychicznych, do wydeptanych dróg myśli, zgola nie chcąc zastanowić się nad tem, że wprowadzone zmiany uczyniły je nielogicznymi. Tak i dziś często kobieta, człowiek samodzielny — czuje i myśli kategorjami uczuć i sądów niewolnicy, zaś mężczyzna, nawet ten najuczciwszy, który sam dążył do odrzucenia przesądów w życiu społecznym i krzywdzicielstwa, w życiu indywidualnym własnym powraca do nastrojów tyrańca i egoisty. Znany jest nagminny typ mężczyzny idealisty w życiu pozadomowym, skrajnego altruisty o szerokim geście wobec społeczeństwa, a w domu najtypowszego sobka w szczegółach życia codziennego. Taka prosta i jasna rzecz: dawniej mężczyzna sam jeden pracował zarobkowo na życie całej rodziny, sprawiedliwym było, żeby kobieta wzięła na siebie całą pracę w domu, włącznie z opieką nad cenną osobą żywiciela. Dziś, gdy dwoje pracuje poza domem, praca w domu powinna być albo wysiłkiem obojga przełożona na inne barki, albo iść do równego podziału, — inaczej znowu zabrzniemy w krzywdę... Uznać to, a zwłaszcza spełnić, jest jednak może kwestją zmiany całego pokolenia o ile n. b. kobiety potrafią przystosować wychowanie chłopców do nowego kształtowania się stosunków, a niestety, i one na mocy inercji jakże często wychowują synów na wzór i podobieństwo ich ojców, na których wyrzekają. W stosunku do chłopca jednak po staremu odwołują się do jego łaskawej galanterji wobec słabej dziewczynki, przyznając mu bezwzględnie prawo do korzystania z jej usług. Odwieczne: Rien oublier — rien appris!

Ideałem byłoby zdobycie się odrazu na energję, potrzebną do otrząśnięcia się z zapleśniałych nawyków, dawnego *modus vivendi*, ale kto wie, czy na rezultaty, ogarniające szersze kręgi, nie przyjdzie czekać długo, conajmniej do inaczej wychowanego, następnego pokolenia. Bądź co bądź, w zakres przygotowania się do fachu małżeńskiego wejść powinno mądre zorjentowanie się w postulatach życia rodzinnego na nową modłę i wysnucie stąd odpowiednich wniosków, nie pochlebając sobie, że kandydatów czeka życie łatwe. Naodwrot: wyrósł las nowych, poważnych szkopułów i trudności, z którymi jeszcze nie umiemy sobie radzić.

KONSTANTY I. GALCZYŃSKI

PODRÓŻ DO ARABJI SZCZĘŚLIWEJ

*Ponsome wstążki bicza miatr rozwał przelotny,
i niebo jest gwiazd pełne, jak Afryka ptaków;
konie — noga za nogą, koła — jako - tako,
a woźnica pijany i bardzo samotny.*

*Kareta to muzyka, to pudło muzyki,
noc naokół karety — to jest szczęścia dużo.
Zaraz księżyc przeleci wielką, srebrną burzą
i w rowach zakolują światliki - ogniki.*

*Jadą w karecie piękni. Ramiona oparli
na poduszkach pachnących. O nocy jedyna!
Śpiewa szafir i droga i każda godzina;
lecz oni nic nie wiedzą, bo oni umarli.*

USTA I PEŁNIA

*Oto jest noc tańczących snów
i wschodzi nów na niebo znów —
jak sekret, który do połowy*

*I dziś, jak wtedy, palcem wien
wskazując, rzekłaś: „Drogi, zmień
ten księżyc, niech się w pełnię spełnia“.*

*mówiłem tobie w inny czas,
gdy nów podobny drżał i gasł
tuż ponad cieniem twojej głowy.*

*I nagle — burza srebra, i
zbratane usta aż do krwi
rozcięła zwierciadłana pełnia.*

PORANEK

*To szumi ziemia. To drzewa z niej wyrastają.
Niebo oddycha. Obłoki wychodzą z domu.
Przestrzeń ucieka. I tylko szafir na wargach
i piasek złoty na włosach, i smutek podobny do dębu.*



HERMINJA NAGLEROWA

20)

ZAWALIDROGA

(powieść)

XX.

Od tylnej strony oficyny, w podwórzu dla ptactwa siedzieli na ławce Franek i Iwaś. Ziemia była tu zgnojona, śliska i jakby powleczonea zielonąwą polewą, pokreskowaną śladami ptasich nóg. W długich korytach czerniła się woda, a pod parkanem, na suchszym miejscu zółciły się resztki pośladu.

Matka Iwasia zwoływała kaczęta płaskim, pieszczotliwym głosem. Przodem szła biała kaczka, chlapiąc nogami różowemi, jak gałazki koralu, a za nią, płacząc kuperkami, biegły chrapliwie kwaczące kaczęta. Były kremowe, albo szare, jak szczury, i biegnąc, potykały się. Ogrodnikowa nabierała z miski garście papki, zmieszanej z liśćmi, i rzucała grudkami, gdzie popadło. Tępe dzioby wryły się w te grudki i niemal w mgnieniu oka narosły podgardla, niby baloniki. Tymczasem nadbiegły w rozkiwanym pośpiechu stare kaczki, a duży kaczor wyciągał szyję i figlarnie merdał podwiniętem piórkiem ogona. Małe oczka na płaskich główkach pływały nisko przy ziemi; duże, niezręczne dzioby zbierały każdą krużynkę aż do błota, a potem w korytach bełtały wodę. Kaczor zaczętnie skubał kaczki w ciemiona, ale najedzone, ciężkie i nienamiętne usuwały mu się z drogi.

Ogrodnikowa otarła rękę o fartuch i uważnie liczyła oczyma młode i stare. Jej bosc stopy nabrały między palce gnojowiska podwórza, kroczyła tu jednak wyniośle, wyprostowana, niemal panująca. Sypiąc gotowaną kaszę dla indyków i poślada dla kur, urastała jeszcze wyżej, aż ponad parkan. Była naprawdę wspaniała, szerokopleczysta, wąska w pasie, a spódnicę, podpięte i rozdmuchane wiatrem, odsłaniały szczupłe nogi. Nawołując tak ptactwo cieniem, gwizdzącym głosem, wydawała się, jakby czarodziejką.

Zabulgotały kłótlive gardziele, prychnął indorowy gniew i zapłonął czerwono przy skroniach, poczem zawisł krwawą soplą nad dziobem męznym i żądnym boju. Rozwinięte ogony jeździły przy ziemi, ciała wydeły się beczkowato i nie dopisywał apetyt, gdy choleryczny temperament jeżył się we krwi. Indycki zato śpieszyły się do jęczmiennej kaszy, kuając posiniałemi główkami, i nie zwracały uwagi na afekt indorów, na to nieustępliwe okrażanie, na te dźwięki burkliwe a przymilne.

Tam, gdzie gęsto skupiły się kury, tworząc niby wzorzysty dywan — kogut sam jeden płynął wysoko, niczem statek. Trzepał żaglami-skrzydłami, wspinał się, czekał przy lepszym ziarenku, ciesząc się, nie

dla siebie, a dla tej żółtej małogłówki. I już ją zagarnął pod siebie głupią, łakomą, nieostrożną. A potem tak samo sponiewierał tę białą i niby obojętną, potem czarną, która udawała chęć ucieczki. Wreszcie czubata czarno-biała już sama przysiadła posłusznie, wiedząc, że i tak nie ominie jej miłość nienasyconego.

Ogrodnikowa strzepnęła fartuch i przechodząc obok chłopców, pokazała w uśmiechu szerokie, wielkie zęby.

— Żrą, mają apetyt. A ta czubata, to codziennie z jajkiem. I ta żółta nakrapiana też niczego. Niech się nachlają, to wyniosę kwoki. Siedzą biedaczki i zdechłyby z głodu, żeby nie przymusić do jedzenia. Wiadomo, matki.

Franek i Iwaś niewiele ze sobą rozmawiali. Na skroniach płoniła się ciekawość do kogucich sprawek, a gdy widzieli jak się tu odbywały pokolei, niemal systematycznie i rzeczowo, rozgrzewały się dłonie i przez ciało przebiegała gałazeczką rozkosz. Iwaś chichotał cichutko: — No, a taki wszystkim nie poradzi! Basza! — Szeptem, nie patrząc w oczy, pytał Franka, czy widział dokładnie. Potem mówili o „tej sprawie“ — jak to się odbywa u innych zwierząt, wreszcie i o tem, jak „wogóle“ i kiedy pierwszy raz oni sami. Przymykały się oczy, rozgrzane czerwonym światłem, a sekretne przygody mrugały pod opadającą powieką. Szybki oddech szarpał sylaby, aż umilkli, przerażeni, że jasny dzień usłyszał ich nieprzystojną tajemnicę. Tylko kogut zapał triumfalnie, bezwstydnie — właśnie w samo jasne oblicze poranka.

Ogrodnikowa przyniosła gorące, pieczone jabłko, polane sokiem malinowym. Poglądziła syna po głowie.

— Lubisz takie?

Postała chwilę przy nich i opowiadała Frankowi, że, jak żył jej stary, nie było tyle robaczywych jabłek. Teraz przez całą noc „leca“ z drzew, jakgdyby deszcz padał w sadzie. A gruszek to wcale w tym roku nie będzie. Na szczęście zgniją.

I jakoś dziwnie łącząc tematy, przemówiła do Iwasia:

— Żebyś mi choć ty zdrów był!

A potem znów do Franka:

— Czyta tylko, panie, furt czyta i z tego zmarnieje.

Iwaś odburknął i ordynarnym ruchem strząsnął z pleców rękę matki.

— A co mam robić — krowy paść? Albo może do karczmy na muzykę?

Skrzywił się, jak męczennik, ale oblizał palce i wytarł je o fartuch matki.

— Dobrze było?

— Niczego. Tylko zamało.

— A jak się przejesz, to znowu będzie gorączka. Lepiej już niech będzie zamało.

Teraz matka wybuchła złością tak nagłą i silną, że Franek zerwał się z ławki, by przeszkodzić ciosom, które się już zamierzały na kark Iwasia.

— Bo to panicz nie wie, co się naproszę: uważaj, nie żryj chleba, nie żryj słoniny, nie syp soli do zupy. Doktor powiedział, że to śmierć. Ile mordęgi, zanim takiego podchowałam i że to sama jestem już dwa roki, a tylko z łaski pana dziedzica tu siedzę i jego w szkołach trzymam.

Plakała ciężkim, z pod serca wydartym szlochem.

— Przecie i nie stara jestem, i w mieście byłam, ale dla niego wszystko zmarnowałam. Trafiał się wdowiec z majątkiem, mogłam żyć i panować. Sam pan dziedzic radził, żeby się za niego wydać. Ale jak ten tu zacznie mi po nocach ryczeć, a prosić: — nie chcę ojczyma! A to, że ucieknie, że się zabije. Niech tam, niech mi swojej krzywdy nie wypomina...

— A za to, uważasz, wypomina mi matka swoją ofiarę, kiedy trzeba i nie trzeba. Już żyć nudno!

— Bo i tak źle, i tak niedobrze — łagodziła ogrodnikowa, nie patrząc już na syna i jakby czegoś spłoszona. — Ty wiesz swoje, a ja swoje — pogadywała nierozumnie, odchodząc do kwok.

Poznosiła je tu, histerycznie gdaczące, wrzeszczące, jak w ataku szału, z rozwianymi piórami, kręcące się wkółko na zeszywniałych nogach. Trzeba je było zmuszać, żeby zjadły trochę rozmoczonego chleba i napiły się wody.

Franek powiedział:

— Widzisz, Iwaś, jakie to są te kurze matki!

— No i co — to ich psia powinność! Niema się nad czem rozczulać. Przyroda zna swoje prawo. Tylko człowiek nie jest mu posłuszny i dlatego taki, jak ja, musi chorować, gnić, zdychać!

— Eh, podły jesteś, bo wcale ci nie jest tak źle. Dbają o ciebie, leczą cię i z tem zdychaniem to gruba przesada. Już ci mówiłem, że jesteś przesadny i zmanjaczony.

— Wiem, co mówię. I zresztą, to moja rzecz.

— No? Nie rób tajemniczych min!

— Kłamie!

— Kto kłamie?

— A ona. Już mi niejedno powiedzieli, a niejedno sam wiem. Matka — dobrze! Tylko, że nie

taka, jak się wydaje. Jak ją ojciec raz zbil, to wszystko wyszło po prawdzie.

— Zbil? Tak to mówisz, jakbyś pochwalał te metody.

— Wcale nie o metodach mówię, ale o tem, co słyszałem. Że niewiadomo, albo i wiadomo, czyj jestem.

— Iwaś! Gadasz byle co! W złości jej to powiedział.

— Może w złości, bo nie wiedział tego, co ja dziś wiem.

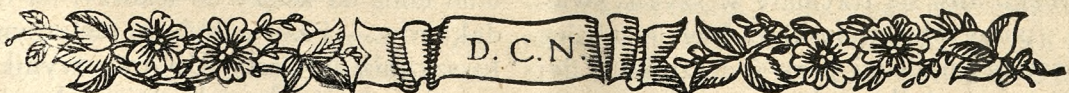
Zerwał się z ławki i wbiegł do domu. Franek patrzył na pisklęta, które przywiodła tu gadatliwa kokosz. Małe, ale już uskrzydłone i nabierające barw, nadażały za kwoką w rozsypce. Miały już samodzielne zamiary i okazywały własną wolę w dobieraniu sobie najlepszych ziaren. Franek, przypatrując się im, myślał o Iwasiu z gniewem i niechęcią. Razila go brutalna prawdomówność i brzydota prostackich określeń. Więc choć wszystko rozumiał z niemal pokrewną bezpośredniością, nie chciał mu w niczem przyznawać racji. Byłby się raczej sprzeczał z nim i świadomą nieprawdą zbijał jego oczywiste prawdy. I to wcale nie dlatego, że powinien brać w obronę ogrodnikową, której nie lubił, ale prosto, nie chciał słuchać zwierzeń Iwasia. Uchylił się przed niemi, jak przed fizyczną obelgą, a właśnie Iwaś celował wprost i dotkliwie, podruszając w Franku chęć odwetu. Ale Iwaś uciekł i nie można mu było powiedzieć tych wszystkich przykrych słów, które już były w pogotowiu.

Nagle rozległ się rozpaczliwy, szeroko rozciągnięty krzyk ogrodnikowej: — Haj-haj, haj-haj, haj-haj! — Trzepała przytem rękami w stronę nieba. Spłoszone kurczęta zbiły się w gromadkę, a skrzydła kokoszy rozgarnęły się, jak złoty namiot. Wreszcie zrozumiał Franek, o co poszło. Wysoko, jak na niebieskim oceanie, ciemną łódką kolebał się jastrząb. Gdy opadał niżej, można było dostrzec falisty, hipnotyzujący ruch skrzydeł i białe plamki na rudawych piórkach.

— Haj-haj, haj-haj — wtórował Franek, a serce biło mu mocno wobec grożącego niebezpieczeństwa.

Przybiegł także Iwaś i patrzył w niebo. Franek dojrzał na powiekach Iwasia zgniecione łyzy, wplątane szklistą błonką między rzęsy. Ale usta Iwasia, jeszcze płaczkliwie skrzywione, otwarły się szeroko i taksamo rozkrzyczały się głośno: — haj-haj, haj-haj!...

Jastrząb podpłynął wyżej, zmalął, zaczernił się muszką, aż znikł, zmazany czystym, lśniącem blaskiem nieba



M. H. SZPYRKÓWNA

Z WĘDRÓWKI

III.
GROTA.

Bazylika w Lourdes — to kompleks kościołów zbudowanych jeden nad drugim, dzięki naturalnemu cokołowi, jaki w tem miejscu tworzy skała. Wysokość górnego kościoła jest, wobec tego, bardzo znaczna, i oprócz schodów, zbiegają z jego krużganków na dół dwie szerokie pochylnie. W ten sposób nawet wózki z chorymi bez fatygi mogą tam być wtaczane.

Pod utworzonemi przez pochylnie i poziom ziemiami arkadami przejście prowadzi wzdłuż profilu Bazyliki, pomiędzy skałą, na której stoi, a strugą naprawo, oddzielającą obszary kościelne od świata. W ścianie bocznej tej skały otwiera się prostopadle pod górnym kościołem, ale przy ziemi, pieczara, zatoczona nieregularnym łukiem, wprost na strugę i zielone łąki za nią: w głębi, na wysokości człowieka, bieje prześliczny, delikatny posąg Bogarodnicy, z płonącym w dzień i w nocy u jego stóp olbrzymim świecznikiem w kształcie choinki. Sklepienie jest całe zawieszane votami po uzdrowionych u cudownego źródła.

To — Grota. Sławna grota z Lourdes, która rokrocznie ściąga do dalekiego podgórskiego miasteczka w Pirenejach rzesze pielgrzymów z całej ziemi — jak wielka.

Źródło zaczyna się w skalistym podłożu Groty, pod kratką, aby było widoczne. Grota jest maleńka, i trzeba było je wyprowadzić nazewnątrz, aby udostępnić dla rzesz. To też u wylotu groty nalewo przeprowadzono je w szereg kranów, a dalej — do kąpieliska, o którym opowiem kiedyindziej osobno. Na ocembrowaniu — groszowe blaszane czerpaczki z napisem: — Lourdes. Piją tysiące, a nie wszyscy bynajmniej zaopatrują się we własne kubeczki. Blaszanki przechodzą z rąk do rąk, i z jakich do jakich rąk! I zgangrenowane, i pokrzywione w szpon przez artretyzm, i okryte strupami. Ale to są wstrząsy tylko dla nowicjusza. Po paru dniach skrupuły podobne przestają istnieć... wobec tego, co się widzi w pograżalniach, gdzie kąpią się chorzy.

Przed Grotą — niewielki placyk, ograniczony cembrowaniem strugi, zatoczonym wielkimi schodami z krzyżem w środku. Na placyku kilkadziesiąt ławek, a w grocie za kratą — niewielki, pięknej roboty ołtarzyk i parę kłęczników z boku. A na samym przodzie, przed niegasnącym świecznikiem, celebryje, przysiadając co czas jakiś na skrzyni do świec, zakrystjan w fartuchu i mycce, ze szczypcami, którymi obrządza świeczki, aby się trzymały w szyku. Świecisty, piękny posąg Matki Boskiej bieje u góry w ciemnej niszy, a on siedzi przy świeczniku u jej stóp — zgarbiony strażnik ognia, trzymający wartę

u progów swojej Pani. Prawdziwy „Ogrodnik Matki Boskiej”, jak go z właściwą sobie ostrą malowniczością nazwał genialny nawróceniec, Huysmans, w swojej książce o Lourdes. Tuż przy grocie, wtulona w podskale, czai się jego malutka, podręczna zakrystyjka, gdzie mieszkają we dwoje: on — i jego kot.

Grota w Lourdes dziś już ma swoją całą literaturę. Jest to literatura pierwszorzędnej jakości, pomijając ilość. Najznakomitsze pióra francuskie tam... ze stalowych na krótki bodaj czas stawały się anielskimi. Ale ktokolwiekby sądził, że dość jest przyjechać do Lourdes, ażeby znaleźć wszystkie materiały, odnoszące się do historii cudownych zjawisk z małą Bernadettą i do rozwoju pielgrzymek, ten się serdecznie myli! Niebo uczyniło od siebie wszystko, aby obdarować ten zakątek błogosławionej ziemi pod Pirenejami tem, co miało z łask ducha i pięknej natury: pierwsi propagatorzy objawień przyświadczały prawdziwości ich bardzo dotkliwymi dla siebie ciężarami, ponoszonymi w imię prawdy i szerzenia sławy imienia Marji; ale dzisiejsi kierownicy Lourdes uznali widocznie, że już propagandy nie potrzebują — i że, kto ciekaw, niech sam się martwi, jak to tam było z początkami. Niedbalstwo i zarozumiałość zarazem ludzi, z którymi tam rozmawiałam, wprawiły mnie w rodzaj cichego zdumienia, niepozabawionego pierwiastków wesołości. Nie mogło mi się wprost w głowie zmieścić, aby w tem Lourdes, samem źródle zjawisk, po których zbadanie jechałam z końca świata: nie było sposobu zdobyć żadnych chociaż względnie usegregowanych materiałów ku studjom w danym przedmiocie.

Jeden z dygnitarzy miejscowych zmartwił się szczerze razem ze mną.

— No tak: biblioteki istotnie nie mamy. Ale może pani kupić potrzebne książki. Mamy tu przecież kilka księgarń.

— Kupić?... Zapewne! Ale widzi pan, gdybym miała wozić ze sobą wszystkie książki, które przeczytam i wydawać tyle pieniędzy na ich kupowanie, to boję się, że odechciałoby mi się studjów. Zresztą, nie wiem nawet, jakie książki należałoby istotnie kupić? Jest ich setkami!

— Ha! To prawda. Mógłbym pani poradzić parę. Naprzykład...

Dowiedziałam się w ten sposób o dwóch książkach, o pięciu książkach, ale zostawało ich więcej — i nie miałam żadnego źródła porównawczego. Odsyłano mnie od księży do lekarzy, od doktorów do redaktorów — i zaiste, była to pielgrzymka dużo uciążliwsza, niż do Groty. U Groty wyniki są niewidzialne wprawdzie, ale stokrotnie oplacające zmęczenie i

koszta. Nie mogłabym tego samego powiedzieć o książkach!

— Do nas ludzie nie przybywają poto, aby studjować!... — oburzył się wreszcie na moje utyskiwania jakiś kolejny informator. — Do nas przyjeżdżają przeważnie pielgrzymki. Im nie są w głowie studia i dokumenty!

— Ale jeżeli się nadarzy fatalnym zbiegiem wypadków nieszczęśliwy, którego, jak mnie, interesuje historia powstania miejsc cudownych wogóle? I musi zbierać do tego materiały?...

— Och! To powinno się pojechać do Paryża! Tam biblioteki mają wszelkie materiały. W miesiąc, dwa, wszystkiego pani się dowie.

— Jednak przybywamy do Lourdes na pewien określony czas i z pewną określoną kwotą, która nie przewiduje podróży do Paryża, ani pobytu tam przez dwa miesiące, dla znalezienia materiałów... o Lourdes? Sam przyjazd tu jest już raczej kosztowną imprezą. Czyż miasto, kancelarja parafjalna, biuro lekarskie wreszcie! nie mogłyby raczej same dowiedzieć się... w Paryżu, jak się przedstawia bibliografja Lourdes, i urządzić czytelnię tu, na miejscu? Przy rozmachu, jaki w innych rzeczach panowie zdołali tu nadać?

Rozmówcy rozkładali bezradnie, ale nie bez irytacji, ramiona.

— Możliwe, ale jakoś dotąd nie było zapotrzebowania! Zresztą, trudnooby określić, do której mianowicie instytucji to należy? To są rzeczy delikatne... Może, w przyszłości...

Po swojemu, może wielebni i cywilni kierownicy Lourdes mają rację. Lourdes ma tak wspała księgę przeżyć, dostępną dla każdego, kto jej pismem włada, że biblioteki więcej nie dadzą. I gdybym odbywała podróż tylko dla osobistych wrażeń—zapewne, nie przejęłabym się także brakiem bibliograficznych zamiłowań u najbliższych służebników Groty! Ale jechałam zgóry wiedząc, że materiały będą mi potrzebne nietylko pro domo mea: że Lourdes jest najkosztowniejszem z ziarenek różańca, które niebo rozsypało po rozmaitych miejscach ziemi, a których dzieje postanowiłam nanizać na sznur jednolitej ciągłości. Dlatego, mimo że zapewne musiałam bardzo zbrzydnać ojcom tam na miejscu, nie czułam się zbyt skruszona. Naprawdę, naprawdę! Przy całym sprawiedliwym ujęciu ich zasług skądinąd, pozwoliłabym sobie jednak wątpić, czy istnienie odpowiednio zaopatrzonej czytelni przy Bazylice, z dokumentami lub ich opisami, byłoby błędnem zużytkowaniem części napływających na dobro Groty wdowich groszy z całego świata katolickiego, w którym i Polska ma nienajpośledniejsze miejsce?...

Tyle o cierniach Groty. Milej jest mówić o jej różach — tych samych, których trochę jeszcze pnie się po skale ku posągowi Marji. Niegdyś, za Berna-

detty, bujna gałąź dzikiej róży słała się pod jej stopami; ale gorliwcy z pierwszych pielgrzymek roznieśli po listku cały krzak, z wielką szkodą dla ogólnego wyglądu. Niemniej, skala zakwita codziennie najpiękniejszymi wiązkami kwiatów, dla których jest zaopatrzona w specjalne stojaczki. „Ogrodnik Matki Boskiej“, o którym już było wyżej, segreguje je, prostuje i zasadza, aby się wydały jak najpiękniej i jak najsprawiedliwiej. Huysmans miał rację! Jest to typowa, wprost wspaniała postać „domownika Bożego“, dla którego, długim nawykiem, nic już nie jest zbyt święte: ze skupieniem odszczypuje upalone knoty podczas Podniesienia, lub zsunawszy na ciemną wiekiustą myckę, protekeyjnie patrzy, siedząc na skrzyni od świec, na pokorne postacie u kraty, wyblagujące łaskę jego Pani. Czuje się poniekąd jej zaufanym, i polega na swoich wpływach. Od jednych obojętnie przyjmuje czterdziesto frankowe grube świece, jak zblazowany dworzanin dary dla swego władcy, od innych łaskawie bierze ubogą, frankową świeczkę, i wybierając miejsce, zasadza w świeczniku tak, aby była najwidoczniejsza spojrzeniu Tej, której ubóstwo jest mile. I nieraz, ruchem niewypowiedzianie pobłażliwym, jak ojciec — dziecko, które nie śmie samo się zbliżyć, popycha jakąś skuloną u furty Groty, roztrzęsioną lkaniami postać, aby weszła wewnątrz. Tam, pod stopami posągu, na wysokości człowieka, skala jest wypolerowana na marmur tysiącami ust i rąk, które się o nią otarły, aby zabrać cząstkę opoki błogosławionej ongi dotknięciem Pani Niebios: na tem miejscu spoczywały stopy zjawiska, które oglądała tyle razy mała Bernadetta.

O ile uda mu się ośmielić kogoś bardzo upośledzonego i nieszczęśliwego, poprawia myckę z zadowoleniem, i żwawiej przebiera świeczki. Czasami, łaciaty wielki kot, mieszkający, za przywilejem, w zakrytyjce, aby bronić świec przed szcurami, przesmyknie się ukradkiem pod ławkami i, zdenerwowany spóźnieniem swego pana, daje mu o sobie znać żalonym, przeciągłym miauczeniem. Wtedy marszczy groźnie brwi, i zlekka, z marszem, odwraca głowę. Ale sprawdziwszy, czy już istotnie jest po siódmej, czyni ostatnie obrządki: zamyka bramki Groty i znika w zakrytyjce, aby za chwilę z niej wyjść „w cywilu“. Od tej godziny ma wychodne, idą więc na spacer: on — i kot. Jeden, z różańcem powoli przesuwany w ręku, z oczyma w dalekich obłokach, miarowo kroczący, poważny i godny — i drugi, idący mu za nogą, równie poważnie i godnie z podniesionym uroczysciem ogonem i sztywno stawianymi łapami. Kodak mi wielokrotnie drgał w ręku, aby sfotografować tę znakomitą parę — ale istnieje zakaz fotografowania Groty i jej inwentarza. A tych dwoje — to był bezwarunkowo jej inwentarz, i tem cenniejszy, że żywy. I — nieprawdaż?... gdzieś na niebieskich swoich wirydarzach Król Niebios znajdzie przecież dla tych dwojga jakiś zakątek na wiekiustą, wiecznie wysłużoną emeryturę!..

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

TRAGIZM KONIECZNOŚCI^{*)}

Stosunek Herminji Naglerowej do rzeczywistości jest nawskroś spekulatywny. Wszystko to, co można nazwać zdarzeniem, traktuje ona, jako przemijające objawy pewnej siły wewnętrznej, utajonej w głębinach podświadomości. Nie liście, kwiaty i owoce na drzewie życia ludzkiego są przedmiotem jej istotnych zainteresowań, ale tajemniczy rdzeń, z którym życie jest nierozłącznie związane, a do którego dotrzeć można tylko drogami intuicji.

W dawniejszych zbiorach nowel Naglerowej, częściowo w „Czarnym psie“, a całkowicie w „Motywie księżycy“ ujawnia się skłonność autorki do rozpatrywania czynów ludzkich pod kątem magicznym. Pozorny fatalizm wypadków ukrywa tutaj głęboką wiarę w potęgę nadprzyrodzoną, nieubłaganie ścigającą z człowieka zapłatę za krzywdę, regulującą jego rachunki doczesne sprawdzianem wieczności.

W „Matowej Kresie“ autorka zmieniła teren operacyjny. Od namiętnych wybuchów zbrodniczej natury ludzkiej, których żywiołowość wywołuje interwencję sił nadprzyrodzonych, przeszła do szarych, bezimiennych istnień, w których życiu napozór nic się nie dzieje. Ale pod tą powierzchowną martwością szaleją burze uczuć niewypowiedzianych, marzeń, którym nigdy nie dane było przyoblec się w ciało, wyznań, które umarły, zanim zostały pomyślane. Nikt w tej książce nikogo nie zabija, nikt nie umiera z miłości, nikt się nie rozwodzi, zupełny brak materiału do sensacyjnej kroniki, więcej nawet: brak elementu, który przywykliśmy nazywać faktem.

Bo cóż z tego, że drewniane szczydło kłękającego kaleki „matową kresą“ naznaczyło kościelną posadzkę, że „za ramą lustra“ przesunęła się zjawia miłości i zerwania, że ciotka Julja w „zielonym kufrze“ zamknęła wszystkie uroki niepowrotnej młodości, że stary, samotny belfer przeżywa „niepotrzebne wzruszenie“ — złudę i zawód wyimaginowanego ojcostwa, że „czyjeś ręce“, ręce nieznaney, a pięknej kobiety, oddającej listy przez okienko na pocztę, omotały czarem miłosnym serce szarego urzędnika, że młoda a pełna poświęcenia żona sparaliżowanego człowieka przeżywa niejako „za przepierzeniem własnej duszy“ żalną idyllę oczekiwania na szczęście, które nigdy nie przyjdzie, że „wesoly Błażek“ w rozpaczonym krzyku obnażył swoją prawdziwą, beznadziejnie smutną duszę, — cóż z tego i czy to wystarczający materiał na nowelę? Okazuje się, że tak. Bo pozorny bezwład i bezradność uczuć w nich zawartych, kryje taką ich życiowo niewyzyskaną potencję, że w samej niewspółmierności ich napięcia do ekspansji pulsuje tętno walki z niepodobieństwem, walki wiekuistej, jak ludzka krzywda.

Są istnienia o głębokich perspektywach i rozle-

głych horyzontach, do których samo dążenie już jest szczęściem. Są inne, których widnokrąg zamknięty jest więziennym murem konieczności. Ludzie „Matowej kresy“ skazani są na krążenie w ślepej uliczce. Z ich losu niema wyjścia, sami je sobie nieświadomie zamknęli. Już nie fatalizm zbrodni, jak w „Motywie księżycy“, ale magja własnego serca trzyma ich na uwięzi.

Fakt, że w ich życiu nic się nie zmienia, nic się stać nie może, jest właśnie niewysychającym źródłem ich tragizmu. Sączy się on z ich serc kroplami goryczy, urastającymi z wolna w morze niedoli.

Na ten niezgłębiany ocean autorka zarzuca sieć intuicji, nigdy nie sytej połowu. Z samego dna istnienia wydobywa muszle serc ludzkich, skazane na wieczne bytowanie w mule i w mroku podwodnym, i szuka w nich pereł. Są to perły matowe, bez uśmiechu blasków. Na targowisku świecideł literackich nie będą miały popytu. Ale prawdziwy znawca subtelnych przeżyć duchowych nie przejdzie koło nich obojętnie. W dyskretnych niedomówieniach autorki, w omijaniu punktów bolesnych, w niedotykanii ran, które nie zdążyły się jeszcze zablźnić, odnajdzie to, czego w życiu i w literaturze spotyka się tak mało: badawczy, a nie prokuratorski, serdeczny bez sentymentalizmu, poufały bez plotkarstwa stosunek człowieka do człowieka.

Na tem polu podejścia do ludzkiej jaźni i artystycznego jej ujęcia dokonywa się w Naglerowej znamienna ewolucja. Jej postawa wobec tajemniczych indywidualności „Motywu księżycy“ była raczej zimna, obserwacyjna, beznamiętna, mózgowa, jak wobec mieszkańców z innej planety. Oddzielała ją bądź co bądź od nich owa aura magiczna, zamazująca sylwetki charakterów i kontury cielesne, że stawali się raczej podobni do zjaw, niż do normalnych istot ludzkich.

W „Matowej kresie“ ta sfera izolacyjna przerodziła się w przejrzystą błonkę t. zw. „życia realnego“, przez którą autorka dostrzega z łatwością ruchy i przemiany zawartej w niej plazmy duchowej, tego, co jest istotną treścią człowieka. Każde jej drgnienie odbija się plastycznie na uczulonej powierzchni wrażliwości autorki. Jest to zjawisko wtórne, jakby odruch sympatji do swego własnego tworu, który nie zdążył jeszcze oderwać się od macierzystego pnia, a już zaczyna żyć życiem odrębnym. Jest to moment najwyższego napięcia władz wyobraźniowych, kiedy wymyślony obiekt staje się wizją. Tu się zaczyna nowa dziedzina, którąby można nazwać „ma-

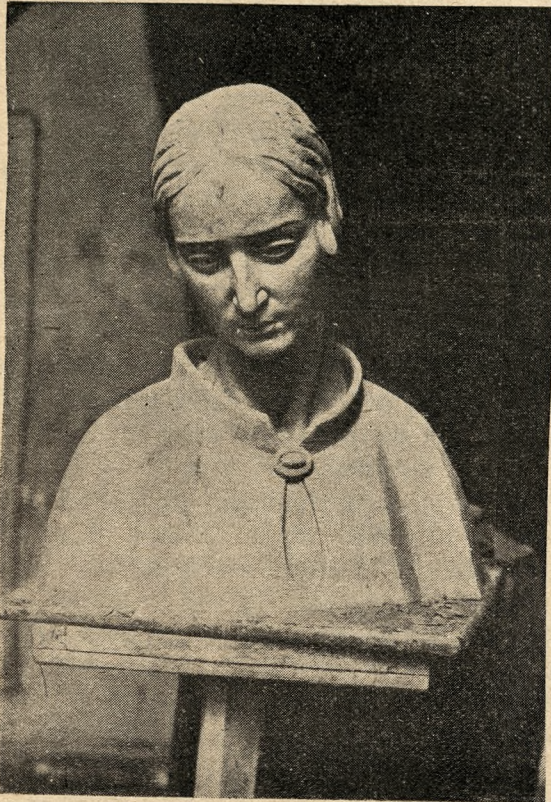
*) Herminja Naglerowa: „Matowa kresa“, Warszawa 1929, nakładem księgarni F. Hoesicka.

gją twórczości“, a która ścisłej analizie krytycznej już nie podlega.

„Matowa kresa“ jest w rozwoju talentu Hermi-nji Naglerowej nowym etapem na drodze intuicyjnego zbliżenia się do człowieka. Jest to jakgdyby okres

wyrastania z pewnych form, które się uznano za niewystarczające, i stopniowego pogłębiania swego własnego stosunku do rzeczywistości. Drukująca się obecnie w „Bluszczo“ powieść „Zawalidroga“ otworzy nam niewątpliwie nowe w tym kierunku perspektywy.

NOWY TALENT RZEŹBIARSKI

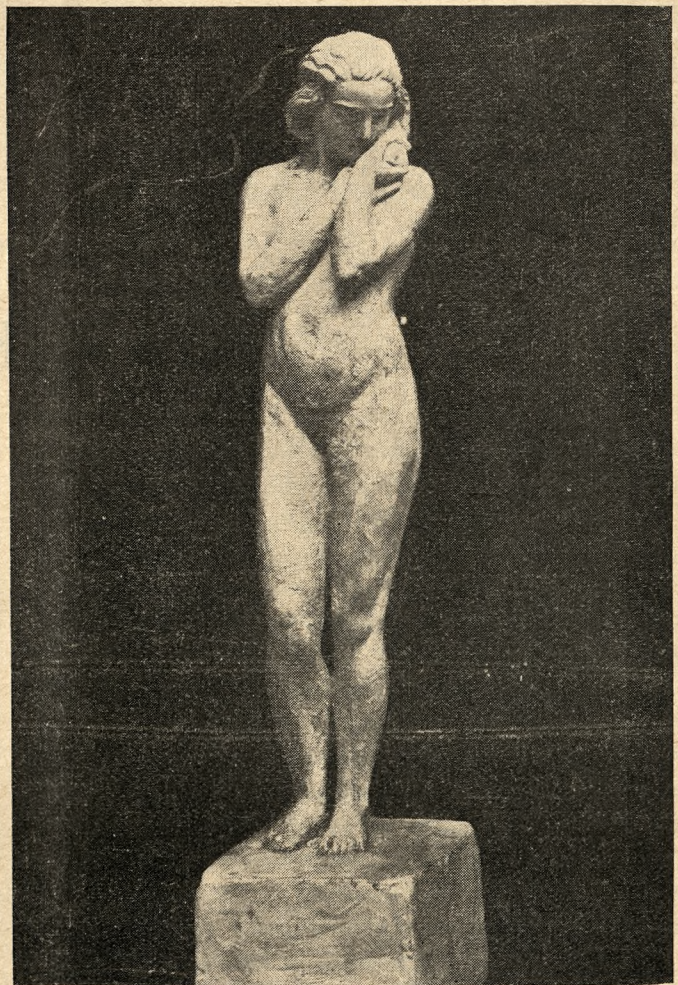


L. Kidonowa: „Główka“.

Żyjemy w epoce wielkich talentów kobiecych. W każdym dziale sztuk pięknych wybijają się na pierwsze miejsca, wnosząc swoiste, świeże wartości, zdumiewając oryginalnością, głębią i wielostronnością. Szeregi sceptyków rzedną, a bezstronny sąd rozstrzyga sprawiedliwie na korzyść tych nowych, olśniewających wyników twórczych, które przynosi talent kobiecy. A trzeba tu zaznaczyć, że jeżeli zdobywanie uznania nie jest łatwym dla artysty mężczyzny — to w postokroć trudniejszych warunkach wypadło przebijać się artystce. Wiemy, że niejednokrotnie, ściśnięta w krąg niemożliwości moralnych i materialnych, rezygnuje i cofa się w tłum. A co gorsza — tego rodzaju tragedje zaliczane są zazwyczaj do gatunku zhisteryzowanego komizmu i dziwactwa. I dlatego, gdy widzimy, jak młody talent energicznie wywalcza sobie miejsce, jak drwi z wszelkiego rodzaju prywacyj, obowiązkiem naszym jest przyjąć mu z pomocą, bodaj moralną.

Takiem podaniem ręki niech będzie niniejszy artykuł, w którym przedstawiamy ogółowi młodą, utalentowaną rzeźbiarkę, panią L. Kidonową. W małym hoteliku paryskim, w malutkim pokoju zamknięty rozległy obszar marzeń. Wszystko w tej wiotkiej, smukłej postaci stało się już tylko wołą i nieustępliwością dążenia.

— Od najmłodszych lat — mówi artystka — ponad wszelkie zabawy przekładałam rysowanie. W roku 1919 rozpoczęłam studia rzeźbiarskie u prof. Wojtowicza we Lwowie. Byłam wówczas jedyną jego uczennicą i u niego, który był zapalonym klasykiem, nauczyłam się cenić rzeźbę grecką, oraz poznałam



L. Kidonowa: „Ewa“.



L. Kidonowa.

czem jest konstrukcja, poprostu — nauczyłam się sumiennego wykonywania. Po dwóch latach nauki, mistrz pozwolił mi wystawić kilka prac, które spotkały się z bardzo pochlebną oceną krytyki.

— Po wyjściu mojem zamaż warunki tak się ułożyły, że musiałam przerwać pracę. Zabrałam się

do niej nanowo w r. 1927 i to z takim zapalem, jak-gdybym chciała odrobić stracone lata. Ale odnalazłam siebie dopiero w Paryżu. Lecz nie rzeźba francuska, ani wogóle współczesna, rozbudziła moją świadomość twórczą. Wprawdzie pracuję tu pod kierunkiem wielkiego mistrza Bourdelle'a (twórcy pomnika Mickiewicza), ale istotnie zrozumiałym dla mnie językiem przemawia do mnie rzeźba staro-egipska. Znalazłam w niej punkt wyjścia, t. j. prostotę ujęcia i architektoniczną budowę każdej figury, która sama w sobie jest bryłą konkretną, zwartą i całkowicie wykończoną. Dochodzi się do tego przez absolutne opanowanie temperamentu artystycznego i głębokie przemyślenie każdej linii każdego planu, z uwzględnieniem przede wszystkim gry światła, która dla mnie jest jedynym miarodajnym czynnikiem w rzeźbie. Oczywiście, wychodząc z takiego założenia, pójdę w kierunku raczej dekoracyjnym. Poza tem emocjonuje mnie kompozycja, jako coś w sobie zwartego, ożywionego tendencją rzeźbiarską i myślową. I tak, jak w rzeźbie, którą zatytułowałam „Przegrałam” — podkreśleniem ruchu starałam się wydobyć jak najwięcej wyrazu, tak „Ewie” kazałam myśleć nad tem, co też jej dała świadomość grzechu, małego, jak jabłko, które trzyma w ręku.

— Mistrz Bourdelle, pyta pani — czy zadowolony? Tak, gdy go słucham, ale jestem trochę własnowolna. Uważa mnie jednak za jedną z „najmocniejszych” wśród swoich elewów. I niech mi pani wierzy, jestem „mocna” także w innem znaczeniu, bo przecież trzeba walczyć, aby tyle osiągnąć, ile zamierzam.

H. N

MOWA KOBIET

I. NARZECZA KOBIECE.

Badacze ludów egzotycznych dawno już zwrócili uwagę na różnice, jakie istnieją w mowie kobiet i mężczyzn jednego i tego samego plemienia.

Dominikanin, ojciec Breton, we wstępie do swego słownika karaibsko-francuskiego z r. 1664, powiada, że kobiety karaibskie z wysp Antylskich mówią nieomal innym zupełnie językiem, aniżeli mężczyźni. Podróżnik francuski Rochefort, również z 17 wieku, zbadał dokładnie to zjawisko i opowiada w swej „Historji naturalnej i moralnej wysp Antylskich” (1665), że istotnie mężczyźni mają w mowie „bardzo wiele wyrażeń własnych, które kobiety rozumieją, ale nigdy ich nie używają. Z drugiej strony kobiety mają własne słowa i wyrażenia, których mężczyźni nigdy nie używają, w obawie, żeby ich nie wysmiano. Dzicy tubylcy Dominiki objaśniają to zjawisko tem, że Karaibowie, zdobywszy wyspy Antylskie, wytępi-

całą ludność miejscowego plemienia Awaraków, pozostawili natomiast przy życiu kobiety, z którymi się następnie pożenili. Otóż kobiety zachowały język macierzysty i przekazują jego znajomość córkom, ale chłopcy, choć rozumieją mowę swych matek i sióstr, mówią językiem ojców i braci już od piątego lub szóstego roku życia... Ale Karaibowie, zamieszkujący kontynent, zarówno mężczyźni, jak kobiety, mówią tym samym językiem, ponieważ pochodzą z jednego plemienia...”

Późniejsze jednak, ściślejsze badania języka Karaibów antylskich dowiodły, że mowa ich mężczyzn i kobiet różni się zaledwie w jednej dziesiątej ogólnej sumy wyrazów. Różnice te odnoszą się szczególnie do nazw rodzinnych (ojca, matki i t. d.), części ciała, ziemi, słońca, drzew, wojny i t. p. Natomiast budowa języka gramatyczna jest wspólna obu płciom. Nie można tedy mówić o dwóch językach karaibskich.

męskim i kobiecym, ale o dwóch dialektach — męskim i kobiecym.

Odrębności dialektyczne w mowie kobiet i mężczyzn istnieją i u innych ludów. Uczeni językoznawcy, np. Jespersen, tłumaczą ich istnienie t. zn. „tabu“ językowym, które polega na tem, że w pewnych okolicznościach i w pewnych okresach przesąd zakazuje wymawiać niektóre wyrazy, ponieważ ma to spowodować szkodliwe skutki dla życia, zdrowia lub powodzenia wykonywanej czynności.

„Tabu“ językowe istnieje w każdym zresztą języku, np. polskim, gdyż skutek przesądnej wiary w magję wyrazów, mogących przez samo ich wymówienie, wywołać przykry skutek, zastępujemy takie wyrazy, jak „umarł“, „śmierć“, przez „zgasł“, „skończył“ (skończył życie), „zgon“. Przesady myśliwskie nakazują nazywać zająca „kotem“, „szarakiem“ i t. d.

U Zulusów „tabu“ językowe jest tak silne i rozległe, że rozciąga się i na mowę kobiet, przez co powstaje wrażenie, że mężczyźni i kobiety mówią odrębnymi językami. Żonie nie wolno nie tylko wymieniać nazwy męża, jego ojca i braci, lecz jeżeli podobny wyraz, a nawet podobna sylaba zdarzy się w rozmowie, musi je zastąpić innemi o podobnym znaczeniu, ale różnemi dźwiękowo. Jeżeli np. imię męża oznacza „syn jelenia“, to żona musi unikać wyrazów zarówno „syn“, jak „jeleni“ i zastępować je innemi, co więcej, musi unikać dźwięków, wchodzących w skład tych wyrazów. Jespersen podaje następujący przykład: jeżeli imię męża zawiera dźwięk „z“, to żona nie mówi już „amanzi“ (woda), ale „amandabi“. Przekroczenie tego zakazu stanowiłoby dowód, że jest czarownicą i pociągnęłoby za sobą karę śmierci.

Jeszcze ciekawsze jest „tabu“ językowe u Chikitosów w Boliwji. Tam już istnieją nie tylko różnice wyrazów, ale i dwie gramatyki, męska i kobieca. Kobiety np. nie wolno używać w mowie ani rzeczowników, ani przymiotników, ani zaimków, odnoszących się do mężczyzn, nie wolno w konjugacji używać nawet sufiksów tego rodzaju. Kobieta nie może np. powiedzieć: „on poszedł do swego domu“; zamiast tego musi powiedzieć: „ona poszła do jej domu“.

Wskutek istnienia „tabu“, kobiety u ludów pierwotnych musiały wytworzyć osobny częściowo słownik, a nawet zmienić budowę języka, przez co powstały narzecza, czyli dialekty kobiece. Różnice jednak między mową kobiet, a mężczyzn istnieją i wśród narodów cywilizowanych.

II. KONSERWATYZM KOBIECY W MOWIE.

Twórcą zmian i przekształceń, jakie zachodzą w językach żywych, jest oczywiście człowiek. Ale człowiek jest pojęciem ogólnem, w rzeczywistości są tylko kobiety i mężczyźni. W jakim tedy stopniu oddziaływa na rozwój języka każda płeć osobna? Czy udział każdej w zmianach, zachodzących w języku, jest równy i jednakowy?

Odpowiadano dotychczas na to, że z reguły kobiety są bardziej konserwatywne, aniżeli mężczyźni i, że właściwie ich rola polega jedynie na tem, iż zachowują i pielęgnują język macierzysty i przekazują go dzieciom, wszelkie zaś innowacje językowe są dziełem mężczyzn. Już Cycero był tego zdania, mówiąc, że gdy słyszy swą teściową, Lelję, to wydaje mu się, jakby słyszał starego Plauta lub Naeviusa, „przerodzoną jest bowiem właściwością kobiet przechowywać stary język w czystości, jako że nie słyszą innych sposobów mówienia i przeto pielęgnują ten, którego najpierw się nauczyły“.

I w dzisiejszych czasach, jak wskazuje duński językoznawca, Jespersen, rola konserwatywna kobiet w krajach, gdzie walczą z sobą o przewagę dwa języki, jest bardzo widoczna. Tak np. wśród wychodźstwa europejskiego w Ameryce łatwo jest zauważyć, że kobiety władają lepiej językiem ojczystym, zachowują go dłużej, jako domowy, aniżeli mężczyźni, którzy, pracując poza domem w otoczeniu ludzi, mówiących po angielsku, prędzej się uczą języka obcego i szybciej zapominają swego. Wśród Basków w Pirenejach wiele jest rodzin, gdzie mężczyźni nie rozumieją już języka swych matek i nie pozwalają uczyć się go swym dzieciom. Kobiety zaś mówią wyłącznie po baskijsku. W sąsiadującej z nami Łotwie język starożytnych Liwów żyje w ustach tylko kobiet, wymarł zaś zupełnie wśród mężczyzn, którzy mówią dziś wyłącznie po łotewsku. Przechowywanie skarbu języka ojczystego, ściślej biorąc, macierzystego, w warunkach trudnych dla narodu pod względem politycznym i kulturalnym jest dziełem i zasługą kobiet, nie mężczyzn.

Ale i w tej regule są wyjątki i to poważne. W Japonji np. jest inaczej. Jespersen podaje następujące spostrzeżenie słynnego znawcy fonetyki języka japońskiego E. R. Edwardsa: „We Francji i Anglii można powiedzieć, że kobiety unikają neologizmów i dbają o to, aby nie odbiegać daleko od form pisanych języka: w południowej Anglii np. dźwięku, którego znakiem pisanym jest „wh“, nikt już prawie nie wymawia, z wyjątkiem dziewcząt w szkołach. W Japonji przeciwnie, kobiety są mniej konserwatywne, aniżeli mężczyźni, zarówno w wymowie, jak w doborze słów i wyrażeni. Jednym z głównych powodów tego zjawiska jest to, że kobiety w słabszym stopniu uległy wpływowi języka pisanego“.

To samo zauważono w językach angielskim i francuskim. W 16 wieku w Anglii tylko wśród kobiet rozpowszechnił się zwyczaj wymawiania np. dwugłoski „ai“ w ten sposób, że brzmiała „ei“, we Francji około 1700 roku kobiety były skłonne do wymawiania również „e“ zamiast „a“, mówiły tedy, jak podaje Grimarest (1712) „medeme“, zamiast „madame“, „bouleveri“ zamiast „boulevard“.

Najciekawsze jednak, że trwały zanik dźwięcznego, drgającego „r“ (niema go już zupełnie w dzisiejs-

szej francuszczyźnie i prawie zupełnie w angielszczyźnie) spowodowały wyłącznie kobiety. Jespersen w swym podręczniku fonetyki przypisuje ten zanik drgającego „r” głównie zmianom, jakie zaszły w stosunkach społecznych. Ostre, dźwięczne, a więc głośnie spółgłoski były konieczne w mowie ludzkiej i usprawiedliwione wtedy, kiedy ludzie prowadzili życie przeważnie na wolnym powietrzu, zajmowali się rolnictwem i hodowlą. Zmiana w układzie życia społecznego, urbanizacja ludności, a jednocześnie większa kultura rodzinna w czterech ścianach domu sprawiły, że dźwięki te stały się mniej potrzebne, uległy przeobrażeniu i nie bombardują już uszu swą ostrością i hałaśliwością

Są dowody, że najwrażliwszymi na tę zmianę w życiu społecznym okazały się kobiety, one też we Francji już w 16 wieku ujawniły tendencję do złagodzenia owego ostrego „r”, zamieniły je na mniej „trące”, a nawet niektóre poszły tak daleko, że wymawiały zamiast „r” — „z”. Śladem tego jest wymowa i pisownia dzisiejsza „chaise”, zamiast dawnej „chaire”.

Większa „postępowość” i „liberalizm” kobiet w wymowie nie jest jednak zjawiskiem powszechnym i kobieta nie wywarła naogół głębszego wpływu na rozwój języków. Różnice w języku kobiet i mężczyzn są znaczne, ale w innej dziedzinie, nie w wymowie.

S. Ol.

ANGLJA NA PROGU JESIENNEGO SEZONU

Utrzymują, że Londyn we wrześniu jest pusty... Brzmi to nieco paradoksalnie, skoro się zważy, że miasto to posiada osiem milionów mieszkańców. A jednak wielka metropolja znajduje się jeszcze w okresie tak zw. — dog days — sezonu pod psem — skoro parlament zażywa wywczasów, dwór bawi na zamku w Landringham, letniej rezydencji w hrabstwie Norfolk, a ci wszyscy wysoko urodzeni i wysoko postawieni, którzy nadają stolicy tempo życia wielkomięjskiego, przyczyniając się co dnia niemal do jakiegoś „evenemcat” na widowni high-life’u, są nieobecni. Ulegając nakazowi sezonu — polują. Tak. Jeżeli w lipcu cała Anglja bawi się w wyścigi koni i psów, oraz zgrywa się na konkursach tenisowych, jeżeli w sierpniu „cała wyspa” — znajdzie się na kolach, ruszając w tym miesiącu, który zwa — wesolym, na wycieczki autami, motorami, modnemi dziś tak bardzo, karawanami — to we wrześniu północne hrabstwa Anglji i Szkocji, oraz cała prawie Walja — staną się widownią wielkich myśliwskich zapasów. Już w połowie sierpnia rozpocznie się okres polowań, które trwać będą do lutego. A więc narazie, najmodniejsze i bardzo absorbujące w sezonie — grouse-shooting — polowania na smakowite głuszce, dalej nadejdzie nieszczęsna pora dla bajecznie kolorowych bażantów, aż wreszcie w październiku rozpocznie się — hunting czyli barbarzyńskie ściganie lisów ogarami.

Właściwie, prawdę mówiąc, myśliwskie namiętności anglosasów interesowałyby nas względnie bardzo mało, gdyby nie fakt... nieoczekiwanego i gremjalnego udziału w tych zapasach płci pięknej! Córy

Albjonu przywłaszczyły sobie, zdaje się nie na żarty tę wyłączną prawie dotychczas rozrywkę męską. Właściciele oberż i ferm w Szkocji wykazują, że 50% przybyłych tu gości stanowią białogłowy. Wspaniale wyćwiczone, przebrane po męsku, dotrzymują placu i kroku swym rodakom, stając się niejednokrotnie — królowemi łowów. Właściciele zaś sklepów z przyrządami myśliwskimi w Londynie i Edynburgu donoszą, że popyt na broń palną w tym roku przewyższa podaż. Amerykanki i angielski wykupują fuzje z takim pośpiechem, że fabrykanci nie nadążają z produkcją.

Nowe sitko na kółku. Nowy game. Coprawda lwią część tych świeżo upieczonych myśliwych — stanowią amerykanki, które, ulegając snobizmowi, za wszelką cenę muszą się znajdować w tej chwili w Szkocji i z właściwym sobie rozmachem zabierają się do nowej rozrywki. Ojcowie i mężowie wynajmują wspaniałe rezydencje szkockie — placąc za sezon od 3.000—5.000 funt. szterlingów! Lady zaś, przybywająca na łowy po raz pierwszy, wyznacza instruktorowi za wyszkolenie w przeciągu kilku dni sumkę 300 funtów = 13.000 złotych! Aczkolwiek niebываła dotychczas frekwencja na słynnych szkockich moors (bagnach) wpływa na rozwój zarówno tego sportu, jak i odnośnej gałęzi przemysłu krajowego, to jednak protestancka do szpiku kości, o surowych obyczajach Szkocja — niechętnem okiem spoziera na przybyszów z szerokiego świata, demoralizujących bogobojną ludność miejscową, przez urządzania łowów... w niedzielę. Dzień ten bowiem, wedle odwiecznych tradycyj, przeznaczony być mu-

si na wertowanie Biblii. Związek Wolnych Kościołów (Free Church of Scotland) — ostro napada na wielkoświatową nieobyczajność, nie wyłączając ze swej krytyki osoby wysoko postawione, jak np. obojga księstwa Yorku, polujących bez wyrzutów sumienia w niedzielę i święta.

Wystąpienie Free Church wywołało zażartą polemikę na łamach czasopism londyńskich, które rozpoczęły dyskusję na temat, co wogóle wypada — a czego nie wypada czynić w niedzielę.

Pozostawmy jednak w spokoju zacierzwionych myśliwych na bagnach szkockich i również zacierzwionych obrońców niedzieli i... powróćmy do „pustego” Londynu. Oczywiście przesada. Życie bije zawrotnym tętnem, bynajmniej nie daje się odczuwać braku... owego miliona najmożniejszych, przebywających na wywczasach. Zbliża się powoli jesień, w której pierwszych tygodniach imponujące to miasto wygląda, pono, najbardziej pociągająco. Rannek budzi się zamglony, otulając mury miejskie przejrzystą, różowo-popielatą mgłą. Słońce przypieka w południe, potęgując przepyszną grę barw bujnej jeszcze roślinności w parkach, ogrodach i skwerach, a wspaniały zachód słońca, jak czarodziej, maluje każdą kamienicę londyńską na inny kolor. Ruch w stolicy wzmaga się z dnia na dzień. Witryny sklepów wysadzają się na coraz to świeższe nowalje wczesnej jesieni. Najwspanialsze, jeszcze przed paru tygodniami dernier-cri koloru i fasonu kreacje letnie walczą na śmierć i życie o wygasające swe prawa — z nadchodzącymi cudami sezonu. Będą musiały ustąpić. Pójdą za bezcen. Wiedzą o tem dobrze przezorne damy z prowincji, nie wzruszające się zbyt coraz to nowymi nakazami błyskawicznie zmieniającej się mody. Ach! te wielkie magazyny londyńskie konfekcji męskiej i damskiej! Ile pokus, radosnych wzruszeń i szczerych smutków przynoszą skromnemu przybyszowi. Można tu wejść zamorusanym kopciuszkim przez jedne drzwi, a wyjść, przepraszam, wyjechać własną limuziną po paru zaledwie godzinach i wyglądać, jak lalka, wycięta z najszykowniejszego żurnalu. Można tu na miejscu zmienić kolor włosów, uczesanie, drobne defekty twarzy, można przy rozmarzających dźwiękach orkiestry spożyć wytworne śniadanie, naznaczyć w zacisznym kąci salonu randkę, albo skrócić sobie nudny czas czekania (zanim coś tam przerobią w świeżo nabytych szmatkach) w sąsiednim kinie, które specjalnie dla shopping-ladies otwiera swe podwoje od dziesiątej godziny rano.

Trudno byłoby w dziesięciu artykułach wyzerpać temat, co będzie modnem w nadchodzącym sezonie, coraz bardziej lubującym się w przepychu, rozrzutności i ekstrawagancji, pomimo, że chmury na politycznym horyzoncie angielskim zgęszczają się coraz bardziej. Można tylko donieść, że królować będzie aksamit, aksamit i jeszcze raz aksamit o 60-ciu

najróżnorodniejszych odcieniach, z których prime trzyma kolor green-bottle, zielonej butelki, następnie — malberry — morwy i wszystkich odcieni czerwonego. Przeszło trzydzieści gatunków aksamitu wyrzuconych zostało na rynek bławatny, z pośród których najmodniejszym jest ring-velvet, czyli ten cudownie mięciutki gatunek, który bez trudności przesunąć się da przez pierścionek — ale stop! Więcej ani słowa o fatalaszkach.

Chyba jeszcze tylko trochę o tem, że wrzesień jest tu zwany „miesiącem miodowym”, gdyż wobec utartego przekonania najszcześliwiej służy młodym parom małżeńskim. Registrarzy cywilni oraz pastory ewangelicy są tak zaaferowani pracą w tym miesiącu, jak pszczoły, zbierające miód na polach konieczyny. Tysiące narzeczonych zjeżdża do Londynu na wykończenie tualety ślubnej, przytem dawno już się utarł zwyczaj, że panna młoda każe wykonywać suknie dla siebie i wieńca drózek — według własnego rysunku. Nie dość na tem, panny na wydaniu z bogatych rodzin angielskich przechodzą specjalne kursa sztuki stosowanej, aby móc później całe urządzenie domu, wszystkie sprzęty i meble kazać wykonać według własnego, indywidualnego pomysłu!

Tak, rozmach i wymagania coraz większe dają się zauważyć we wszystkich dziedzinach życia. Precz z brzydkimi domami, sprzętami i meblami, ba! precz z brzydkimi ludźmi, skoro każdy, gdy tylko zapragnie, może posiadać klasyczne rysy twarzy i budowę bez zarzutu. To nie przesada, przytem nie tylko każda, lecz i każdy — aczkolwiek płeć brzydka jest pełna perfidji w tym wypadku i twierdzi, że zmienia twarz — aby ułatwić sobie... stosunki handlowe, polityczne, zawodowe i t. d. — to jednak w słynnych już dziś na cały świat cabinets de beauté londyńskich tłok panuje nie do opisania. Każdy i każda dziś marzy o nowym nosie, nowej parze uszu, albo pięknie wyciętych ustach. Wstydliwie ukrywane praktyki, mające na celu poprawienie twarzy ludzkich, urosły dziś do rozmiarów olbrzymiego przemysłu, zatrudniającego tysiące specjalistów. Czasopisma notują skrupulatnie statystykę upiększonych obywateli i dają ścisły wykaz cen tych manipulacyj, oto np. każdy nowy nos kosztuje tylko 50 funtów szterlingów. Operacja bezbolesna trwa 10 minut, a klient (ka), opuszczający gabinet lekarza, skacze z radości — nie poznając samego siebie! Z uszami trochę drożej — nowa para kosztuje 80 funt. szt. (około 3.000 złotych), 50 funt. wystarczy na usunięcie drugiego podbródka, tyleż za skasowanie zmarszczek pod oczyma, albo nadanie ustom rysunku godnego strzały Kupidyna.

Jednym słowem za 250 f. można otrzymać nowiusienką, klasyczną twarz, która stanie się źródłem wielu radości... nietylko radości zresztą. — „Piękna twarz — jest fortuną dla nas” — głosi dewiza współczesnych czarodziejów-chirurgów.

Han. Skar,

Z TEATRÓW

OTWARCIE SEZONU OPEROWEGO W TEATRZE WIELKIM
„Halka”, opera Stanisława Moniuszki.

Nareszcie ujrzeliśmy „Halke” w godnej oprawie inscenizacyjnej i dekoracyjnej. Już za pierwszym odsłonięciem kurtyny poczuliśmy się przeniesieni w ten szlachecki świat osiemnastowieczny, kiedy to między kontuszami panów braci już się niejedną strój francuski zaplątał, a staropolski animusz z wersalską galanterią szedł w paragon. Podniesiono przytem skalę towarzyską tła salonowego, na jakim rozgrywa się akcja aktu pierwszego. Zobaczyliśmy nie izbę w dworku szlacheckim, ale salę balową w pałacu niemal wielkopańskim, dworne maniere gości i służbę w „barwie”, jak u magnata. Zyskała na tem stroju reprezentacyjna widowiska i jego dekoracyjność. Wprowadzono przytem zasadniczą zmianę w rozwoju akcji. Oto Halka nie ukazuje się na scenie w akcie pierwszym, słyhać tylko z oddali jej śpiew żalony, budzący podejrzenia w sercu Zofji, troskę w umyśle Stolnika, trwogę i zakłopotanie u Janusza. Efekt dyskretny i szczęśliwie zastosowany.

Zarówno w estetycznych i pomyslowych dekoracjach Wodyńskiego, jak w kostjumach i układzie tańców Parnella, trzymano się raczej historycznego realizmu, niż stylizacji. Tylko w polonezie i mazurze znać było nowoczesną tendencję do ekspresjonizmu w guście „Tańców polskich” Stryjeńskiej, pewne maneryczne przegięcia, niezupełnie licujące z duchem epoki i rasy. Mazur został szczęśliwie urozmaicony szeregiem zindywidualizowanych figur, zaznaczyć jednak należy, że popisowy numer pani Parnellowej, jakkolwiek był małym arcydziełem sztuki choreograficznej, przypominał raczej tropaka, niż mazura. Tańce góralskie w akcie trzecim wypadły bez zarzutu, a epizod ze zbójnikami, wśród których rej wodził wspaniały harnaś — Parnell w autentycznym kostjumie Janosika wywołał prawdziwy entuzjazm na widowni.

Wogóle sceny zbiorowe wypadły poprostu imponująco. Umiejętna i sprężysta reżyserja nie ominęła najdrobniejszego szczegółu, któryby mógł ożywić akcję i uwypuklić jakąś charakterystyczną cechę środowiska. Świetnie np. skomponowany jest moment zaręczyn kiedy to oprócz środkowej grupy młodych i błogosławiącego ich ojca, widzimy szereg koncentrycznie związanych z nią epizodów: naprzód barwne i ruchliwe koło szlachty, biorące żywy udział w scenie, a dalej, z jednej strony na uboczu pan we francuskim stroju przez lognon na widelkach obserwuje młodą parę, z drugiej dwóch szlacheiców w kontuszach podaje fotel asystującemu zaręczynom praladowi.

Na ostatku wypadło mówić o tem, o czem się zwykle w sprawozdaniach operowych mówi na początku: o śpiewakach. Może dlatego, że tu najmniej jest do powiedzenia. Dyrekcja, rzecz prosta, zużytkowuje te siły, któremi rozporządza. To też najslabszą stroną wznowionej „Halki” jest jej obsada.

Stosunkowo najlepiej i pod względem wokalnym i aktorskim wywiązały się ze swych ról kobiety. Pani Helena Lipowska była dobrą Halką, szczególnie w scenach obłąkania, p. Tola Mankiewiczówna obdarzyła swoją Zofję sporą dozą sentymentu i kobiecości. Nie ich wina, że żyją w pamięci słuchaczy wspanialsze Halki i Zofje. Bezwzględnie obecne dały z siebie maximum własnych możliwości. Natomiast Gruszczyński śpiewał, jakby nie swoim gardłem. Dopiero w arji „Szumią jodły” przypomniał sobie, że jest rasowym śpiewakiem. Pozostałe partie męskie nie wykroczyły poza granice przeciętnej poprawności. Chóry sprawiały się karnie.

Na widowni nie znać było, że to otwarcie sezonu operowego w stolicy wielkiego państwa. „Puchy” skandaliczne, pomimo tego, że zmobilizowano wszystkie ciotki emerytowanych koryfejek baletu, które na tę uroczystość stawily się jak jeden mąż, gorliwie wietrząc w chłodnej doskonale wentylowanej sali świeżo wyjęte z naftaliny mantyle.

S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

Z DZIEJÓW SŁOWACKIEJ „ZIVENY”.

Niedawno, podczas pobytu w Czechosłowacji, miałam możność zaznajomić się z dziejami istniejącego od dawna Związku Słowiańskich Kobiet „Zivena”.

„Zivena” założoną była w 1869 roku z inicjatywy słowackich narodowców oraz ich żon, w Turczańskim św. Marcynie. Celem tego związku było zakładanie szkół, w których słowackie dziewczęta miałyby możność wychowywać się w moralności na dobre gospodynie i wzorowe córki narodu.

Pierwszym zadaniem członków było zbieranie pieniędzy niezbędnych na założenie szkoły. Nadzieje ich jednak były prozaicznie zawiedzione, albowiem w 1874 roku skasowane zostały przez rząd węgierski wszystkie słowackie gimnazja, a wkrótce potem i Macierz Szkolna. W dziesięć lat później, zrobiono starania o pozwolenie założenia przynajmniej szkoły gospodarczej w Turczańskim św. Marcynie, lecz i to, niestety, nie zostało uwzględnione. Stosunki pogarszały się coraz bardziej, a bezwzględna madziaryzacja postępowała coraz szybciej naprzód wraz z uciskiem narodu słowackiego. „Zivena”, nie mogąc wypełniać programu objętego statutem, ograniczała się jedynie do zwoływania dwa razy do roku zebrań, aby tem utrzymać ducha w narodzie.

Pomiędzy licznymi i różnorodnymi pracami tych dzielnych pionierek postępu, które, jak niezem nieustraszona awangarda, własnymi ciałami starały się wyrównać drogę dla przyszłych pokoleń, należy wyszczególnić działalność ich na polu robót ręcznych t. zw. „wyszywek słowackich”. Wytrwałością i nieustanną pracą, doprowadziła „Zivena” do urządzenia, wspanialej wystawy w 1887 roku w Turczańskim św. Marcynie. Wystawa ta, obejmowała, oprócz pięknych, dochodzących do wysokiego artystycznego haftów i „wyszywek” ręcznych, w zastosowaniu do prześlicznych strojów ludowych, także i inne gałęzie przemysłu ludowego, tak obfite i różnorodne, że zyskała ogólne uznanie i zachwyt.

Na pamiątkę dziesięcioletniej niepodległości czechosłowackiej republiki wydała „Zivena” w 1928 roku „Letopis Ziveny”. Czasopismo to zawierało przegląd pracy słowackich kobiet w życiu narodowym, kulturalno - oświatowym, społecznym, socjalnym i w ogólnym wykształceniu oraz na polu literackim. Dzielko to przyczyniło się do uświadomienia słowackich kobiet o ich obowiązkach względem ludu, o tradycji słowackiej kultury i pogłębiło ich samodzielność narodową.

Staraniem „Ziveny” utworzone zostało w 1911 roku Stowarzyszenie Kobiet pod nazwą „Lipa”, którego praca ogranicza się do samych tylko wyszywań.

Do roku 1929 założyła „Zivena” na całej Słowaczynie 61 filij. Dalszym celem „Ziveny” po wojnie światowej, jest zakładanie specjalnych szkół dla kobiet na całej Słowaczynie.

Do pracy oświatowej należy wydawanie i rozszerzanie pomiędzy ludem odpowiednich książek (np. „Słowenskim matkam”, „Słowenskim detom” i inne).

Działalność „Ziveny” obejmuje coraz szersze kola, a niewiasty, w niej działające, zdobyły sobie rozgłos, sławę i uznanie, iż potrafiły podolać trudnym zadaniom kobiety w zakresie politycznym, społecznym i pracy domowej.

Zofja Jachnisowa.



Osiedle uniwersyteckie w Paryżu

OSIEDLE UNIWERSYTECKIE W PARYŻU

W roku 1900 było zapisanych na uniwersytecie paryskim 11.000 studentów. W r. 1925 było ich już przeszło 28.000 z których 3.300 obcych. Liczba ta, stale się zwiększająca, świadczy o wzrastającym rozmachu młodzieży francuskiej w dążności do nauk wyższych i pociągu, jaki ten uniwersytet wywiera na młodzież innych narodowości.

Ale jak żyje ta młodzież pośród trudności materialnych doby obecnej? Na ogół marnie, za wyjątkiem nielicznych synów bogatego mieszczaństwa. studenci należą przeważnie do rodzin biednych lub uboższych przez wojnę. Wielu z nich, aby móc związać koniec z końcem, musi sobie wyszukiwać zajęcia płatne po kilkaset franków, albowiem rodzice ich,

sami walcząc o byt, nie są w stanie dostarczać potrzebnych funduszy na kształcenie synów. A jednak pomiędzy nimi są może tacy, których nazwiska za lat kilkadziesiąt będą tak sławne, jak Mickiewicza, Curie-Skłodowskiej albo Pasteur'a. Społeczeństwo francuskie nie mogło dozwolić, aby taki stan rzeczy trwał dłużej i pogarszał się z każdym rokiem, aby przyszłość francuskiej kultury miała być zagrożoną, a przodownictwo jej w świecie zachwiane.

W takiej przełomowej chwili, znalazł się wielkoduszny człowiek, który chciał i mógł to palące zagadnienie rozwiązać. Rozumiejąc, że zasadniczą dla studenta sprawą jest kwestja mieszkaniowa, ofiarował on uniwersytetowi paryskiemu sumę 10



Pokój w domu z fundacji kanadyjskiej



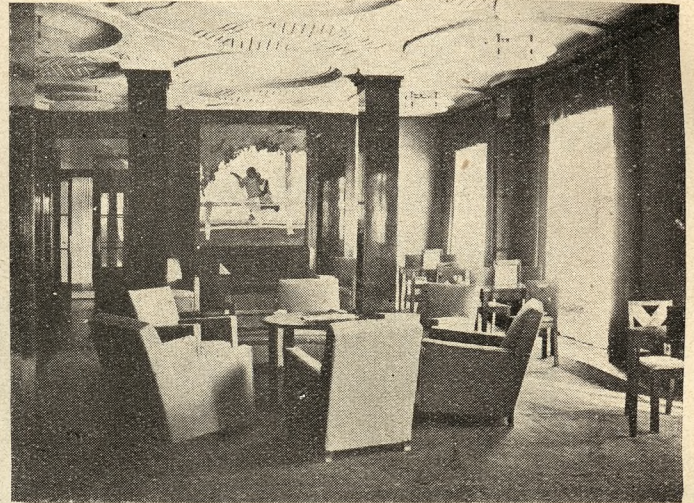
Dom belgijski

miljonów franków, dla przyciągnięcia młodzieży uczącej się a biednej, pod tym jednym warunkiem, aby domy wybudowane i przeznaczone dla 350 studentów, były wzniesione na terenach pofortyfikacyjnych Bulwaru Jourdan, na wysokości parku Montsouris, to znaczy w najzdrowszej dzielnicy stolicy, połączonej dogodnie z centrum miasta linią kolejową i tramwajami. Ten wspaniałomyślny człowiek, to Emil Deutsch de la Meurthe, jego zaś serdeczny przyjaciel Appel, Rektor Uniwersytetu paryskiego, był w tym wypadku jego doradcą i pośrednikiem w Ministerstwie Oświaty Publicznej.

W 15 miesięcy potem wszystkie formalności z rządem były załatwione, 28 ha. zakupionych od miasta dla Uniwersytetu dla wybudowania na tym terenie odpowiednich budynków oraz na urządzenie boisk sportowych. Miasto brało na siebie założenie parku oraz oświetlenie swoim kosztem budynków, ulic i całego Osiedla.

W myśl założyciela, Osiedle winno być dostępne dla młodzieży wszystkich narodowości. Rozmach, dany przez p. Deutscha, miał pociągnąć w swoje ślady dalsze inicjatywy francuskie i obce, dozwolić na stworzenie nowego miasta i stopniowe zaludnianie go. W taki sposób winien się rozwijać wśród młodzieży przybyłej tam ze wszystkich części świata, ów duch braterstwa, zrodzony z koleżeństwa w pracy i zabawie, dający początek pojęciu o „Międzynarodowości” w jej najwznioślejszym znaczeniu. A najstarszy Uniwersytet świata zachowa nadal ten charakter uniwersalności i przywilej w doborze elity umysłowej, który bez przerwy od XII w. był jego chlubą i dumą.

Fundacja Deutsch de la Meurthe została odana do użytku młodzieży dnia 9 lipca 1925 r. W rok później, suma 5 milionów franków została ofiarowaną Uniwersytetowi paryskiemu przez szczerych przyjaciół Francji, pp. Biermans-Laporte na wybudowanie gmachu dla pomieszczenia 200 studentów belgij-



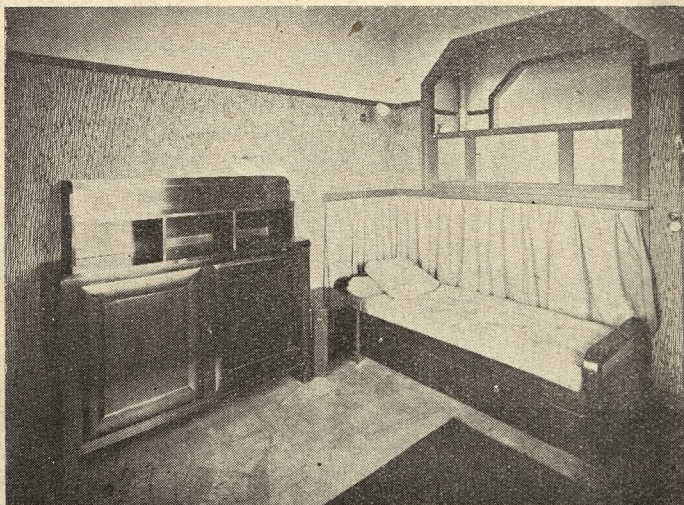
Salon w domu argentyńskim

skich, 2 miliony 600 tysięcy fr. ofiarował Senator Wilson w imieniu przyjaciół kanadyjskich, aby wybudować dom dla 50 studentów kanadyjskich. Dał 1 miliona od p. Beberg, obywatela argentyjskiego i inny, 250 tys. fr. od kolonji argentyńskiej w Paryżu, dla pomieszczenia 50 młodzieży argentyńskiej. Grupa profesorów amerykańskich dała odpowiedni fundusz na wybudowanie domu o 275 pokojach. Byli uczniowie Szkoły Centralnej suskrybowali sumę 1 miliona 200 tys. na dom, mogący pomieścić 170 uczniów tejże szkoły. Sumę 1 miliona fr. przeznaczył Instytut Agronomiczny dla swoich słuchaczy, a Rząd francuski przeznaczył 3 miliony, jako zaliczkę na wybudowanie takiego gmachu.

Od września 1925 r. mieszkało w Osiedlu 745 studentów, a skoro tylko roboty, które są w toku zostaną ukończone, będzie ich prawie 2.000, ale liczba ta zostanie wkrótce przekroczoną wobec tego, że Administracja już została zawiadomiona o zamierzonych nowych mnogich fundacjach, które w niedługim czasie zostaną w czyn wprowadzone. I tak ma powstać fundacja ks. Piotra Monaco i dziesięć innych dla studentów: Brazylijskich, Czechosłowackich, Duńskich, Greckich, Kolumbijskich, Kubańskich, Norweskich, Polskich, Szwajcarskich, Wenezuelskich.

Wszystkie fundacje, francuskie czy innych narodowości, postawione są na stopie ścisłej równości. Wszystkie one należą do organizmu Uniwersytetu paryskiego i mają swoich przedstawicieli w Radzie głównej Fundacji Narodowej, która jako upoważniona przez Uniwersytet, zarządza całością Osiedla.

Nie mniej ważnym zadaniem i troską, jak wybudowanie poszczególnych, najrozmaitszych fundacji, jest wzniesienie gmachu dla Administracji i obsługi całości Osiedla. Potrzebne są jadalnie, sale na zebrania, w których możnaby urządzać koncerty i uroczystości, gimnastyczne, fechtunkowa, pływalnia, stacja sanitarna, biblioteka i t. p. Ze zwykłą so-



Pokój mieszkalny w domu argentyńskim

bie hojnością młodszy p. Jan Rockefeller, postanowił przyczynić się do wybudowania odpowiednich domów, niezbędnych dla wyżej wymienionych potrzeb, w tym celu otworzył kredyt aż do wysokości 2 milionów dolarów. Dzięki tej wspinałomyślności, młodzież uniwersytecka, ucząca się i śpiesząca ze wszystkich krańców świata do Uniwersytetu paryskiego, wkrótce posiadać własne ognisko, którego jej brakowało. P. Rockefeller dodaje jeszcze do tego daru trzy subwencje, płatne w ratach przez trzy lata, w łącznej sumie 165 dolarów.

Obok fundacyj w wielkim stylu, postanowiono uprzystępnąć ofiarodawcom fundowanie pojedynczych pokojów, w taki sam sposób, w jaki się funduje łóżko w szpitalu, co we Francji jest rzeczą zwykłą. Za 50.000 fr. (około 16.000 zł.) płatnych jednorazowo, albo podzielonych na cztery lata, można zakupić pokój i zapewnić jego używalność dla studenta wyznaczonej narodowości, albo dla słuchacza dowolnie wybranego wydziału. W ten sposób postąpiły Rady licznych departamentów, Związek urzędników kolejowych, Izba Handlowa, która ufundowała pokój dla studenta z Kanady, a pewien Amerykanin zakupił pokój dla studenta Francuza. W rezultacie pokoi zakupionych było do końca r. 1925 już 27.

Fundacje 13 narodów pobudowały dotychczas swoje domy, są one oczywiście utrzymane w rozmaitych stylach i urządzone z komfortem, zależnym od zapatrywań i gustu fundatorów, a stosownie do potrzeb i przyzwyczajęń danej narodowości, dla której dom jest przeznaczony. Najbardziej jednolitą jest fundacja Deutsch de la Meurthe i tworzy bardzo gustowną i efektowną całość, jak to na załączonej fotografii da się zauważyć. W fundacji belgijskiej o 220 pokojach, jest piękna i obszerna sala, przeznaczona na zebrania i uroczystości. W gmachu fundacji argentyńskiej o dwóch skrzydłach, znajdują się na szczytach tychże, werendy okwiecone. W fundacji kanadyjskiej o 45 pokojach jest wielki i gustowny hall. W każdym budynku sypialnie są urządzone skromnie, ale gustownie i z nowoczesnym komfortem.

Najbliższym i najgorętszym zamiarem Administracji, która spodziewa się uzyskać na ten cel fundusze, jest wzniesienie specjalnego domu, przeznaczonego wyłącznie dla studentek-kobiet. Albowiem uważa za nader pożądane, aby obok Francuzek, znalazły się tam młode dziewczęta innych narodowości, nader licznie reprezentowane na Uniwersytecie Paryskim.

M. D.

Przyjaciółki

*Powiedz mi kochana, co Ty robisz w lecie,
że masz twarz matorną, gdy moja wciąż świeci?
Odpowiem otwarcie: dla mnie to zabawka:
Twarz odświeża świetnie ŻAKA „PRZEMYSŁAWKA“.*

REORGANIZUJMY NASZE OGNISKA DOMOWE

Drugą z kolei po pożywieniu najważniejszą sprawą naszych czterech ścian jest utrzymanie domu w porządku, czyli znów sprawa, związana ściśle z życiem kobiety, wykonującej tę czynność osobiście, bądź wyręczającą się służącą.

Służby wykwalifikowanej mamy bardzo niewielką ilość, a pojęcie czystości tak różne jest dla stron obu, że często pozostaje jedno: zrobić porządki samej.

I tak się najczęściej dzieje; w wypadku jednak, gdy pani pracuje poza domem, sprawa ta spoczywa wyłącznie w rękach służby, a jak się przedstawia, wiemy najlepiej po tak zwanych porządkach „świętecznych“, kiedy wymiata się z kątów kilogramy kłaków kurzu, z którymi przemieszkiwaliśmy całe miesiące. W tem miejscu mimowoli nasuwają się analogje z holenderkami, myjącymi piece — wewnątrz, z australijkami, których kuchnie, od góry do dołu wykładane białymi kaflami — to laboratorja, gdzie na usługi gotowania jest elektryczność, mechaniczne przyrządy do mycia naczyń i t. p. bajeczne urządzenia, o których u nas w Polsce słucha się, jak w dzieciństwie się słuchało bajek, opowiadanych przez starą babunię.

Najlepszym rozwiązaniem sprawy porządków domowych jest używanie elektrycznych odkurzaczy, własnych lub wynajętych, choćby raz na miesiąc. Maszyna taka czyści wszystko bez poruszania z miejsca (oszczędność czasu) dużych mebli, jak kanapy, fotele, materace, czyści dywany bez wynoszenia ich na podwórze; w warszawskich kamienicach niema w wielu domach miejsca, sama widziałam dywany i materace trzepane — w klatce schodowej, co urąga już nietylko poczuciu przyzwoitości, ale prosi się o protokół policyjny. Odkurzaczem elektrycznym czyścimy podłogi, tkaniny i ściany, mamy więc maximum czystości, jaką osiągnąć można.

Ten typ porządkowania nie ma nic wspólnego z tak zwanym „sądnym dniem“ porządków przedświątecznych, nie potrzebujemy uzbrajać się w kije, szczotki i ścierki od kurzu — odkurzaczy, zamknięty hermetycznie wchłania pył; osoba, obsługująca go, nie najada się kurzu, jak to ma miejsce przy odkurzaniu szczotkami i ścierkami, które, mówiąc między nami, jest niczem innym, jak przenoszeniem kurzu z miejsca na miejsce.

Dalej, paląca kwestja naszego domu — to wyczyn, na którego wspomnienie każda pani domu dostaje gęsiej skórki: pranie. Jest to prawdziwa katastrofa domowa. Dom nasz przez kilka dni wypełniają wstępne zapachy, para, dobywająca się z dyszącego, jak w piekle, przepelnionego kotła; jazgot dwu istot, nie-

ustających w komunikowaniu sobie ostatnich o nas wiadomości (tej domowej i tej, co przyszła), spóźnione i źle przyrządzone obiady; oczywiście, niesprzątnięte mieszkanie (służąca wytracona z równowagi życiowej). Ta miła zabawa, czyli pranie, trwa kilka dni, poczem po kilkodniowej przerwie następuje nowa faza „wykończania bielizny”. Rezultat ostateczny, o ile pranie minęło spokojnie, t. zn. nie zostało zakłócone dramatem o „górze”, przynosi koszt kilkudziesięciozłotowy i prawie nieuniknione „zapodżanie się” kilku sztuk bielizny. Winnych niema (szukajże wiatru w polu!), bo to niewiadomo, czy praczka zawiniła, czy magiel, czy strych. Wprawdzie ostatnio reklamują pralki automatyczne, ale nie wiem, o ile wpłyną one na zmianę sytuacji — w żadnym razie nie uwolnią nas od praczki. Służąca domowa nie jest w możności gotować, sprzątać i prac, chyba, że liczba domowników nie przekracza dwóch osób.

Kiedyż nadejdą te szczęśliwe czasy, że będzie można wydać bieliznę do prania poza dom, nie lękając się, że nam powrócą przeżarte przez chlor strzępy?

I tu życie naprasza się o dobrze zorganizowaną komunalną pralnię, pod wzorowym zarządem sił fachowych, prowadzoną dla wygody społecznej, nie dla zysku, znów więc kalkulującą cenę prania znacznie niżej, bo w gromadzie, niż nasze indywidualne, zanieczyszczające dom i wnoszące doń dezorganizację, pranie. Projekt ten czeka na podjęcie go... siły fachowe i organizujące znajdą posady, wiele ognisk domowych — spokój i zadowolenie.

Modna dziś kolorowa damska bielizna wniosła już pewnego rodzaju postęp. Pierzemy ją sobie same, jeśli nie chcemy, aby w parę miesięcy została podarta, lub zakolorowana inną kolorową sztuką. Uczenie i tłumaczenie nie pomaga. Fachowa praczka wszystko wie, obraża się, „jeszcze takiej pani nie widział”, no i oczywiście, niszczy ciekawą szmateczkę w pośpiesznym tempie. Koszulki nasze pierzemy sobie same, nie jest to zresztą uciążliwe, a potem prąjemy je elektrycznym żelazkiem.

Elektryczność w naszym domu powinna mieć najdalej idące zastosowanie, jest niezastąpiona przez swą czystość, pośpiech i łatwość obsługi. Kolacja, śniadanie, prasowanie — to fraszka, którą może każda osoba wykonać, gdy jest w domu instalacja i potrzebny elektryczny sprzęt.

Stopniowo oduczymy się używania służby, gdy uzbroimy nasz dom, o ile jest liczny, w postępowe urządzenia elektryczno-gazowe, pieniądze, wydane na te inwestycje, wrócą się nam z procentem, już tem samem, że nie musimy żywić jednej osoby więcej. Byłoby to zresztą drobiazgiem, gdyby osoba ta naprawdę była pożyteczna, często jednak jest zawadą w domu.

Dowodem pewnego postępu są kursy gotowania na gazie. Powinny znaleźć słuchaczki przedewszystkiem między inteligencją. Naogół bowiem, to znaczy przy nieumiejętnej konsumpcji gazu, gotowanie takie jest kosztowne; można jednak ugotowanie obiadu ułatwić sobie w następujący sposób: należy podgotować potrawę, powiedzmy kaszę, kartofle, zrazy, zupę, jarzynę, poczem owinąć szczelnie w koc i — zostawić, udając się do swego zajęcia. Gdy wrócimy i odwinniemy ją z koca, będzie ugotowana. To znaczy, gotowała się własnem zatrzymanem w naczyniu ciepłym.

W ten sam sposób, nie tak prymitywnie, lecz w rurach, do których stawia się potrawy na określone godziny, gotuje cała Holandja. Niema służących w naszym znaczeniu, są urzędniczki, inteligentki, ubrane elegancko, jak my same, przychodzące na ściśle ograniczoną godzinę, wykonujące swą czynność, jak w biurze — sprzątnięcie, czy też przyrządzenie potraw, które, wstawione następnie do rury, dochodzą same.

Myszę, że i my doczekamy tych przepysznych reform, ułatwiających życie kobiety. Nie czekajmy jednak, aż nam je zaaranżują mężczyźni, lecz, rozumiejąc ich doniosłość dla naszego dobra, zacznijmy je wprowadzać w czyn. Będą to z początku tylko eksperymenty, potem okażą się praktycznymi wynalazkami, a potem staną się nieodzowne dla naszego zreformowanego życia. Będziemy wtedy naszą niewolę domową wspominać, jak zgoła nieprawdopodobną a miłą prawie, bo oglądaną z bardzo daleka, opowieść. Wnuczki nasze prawdopodobnie będą słuchały tych historyjek przez grzeczność, ale nie uwierzą im absolutnie. Rzeczywiście, trudno uwierzyć, aby inteligentna kobieta życie swe poświęciła wyłącznie — garnkom.

A kobiet inteligentnych jest tak wielka liczba! Te przedewszystkiem niech pomyślą o zreorganizowaniu swego źle urządzonego życia.

Ponieważ jednak nasza epoka — to okres jaknajdalej idących przemian, nie wąpimy na chwilę, że duch czasu przeniknie najbardziej zaciszne zakątki domowe.

Niechże im przyniesie dobrą zmianę!

mar.-mor.

Zakochany

*Gdy ustami przylgnę do Twych miłych rąk,
Jakbym kmiatu dotknął z nadwartańskich łąk,
Skąd ta miękkość skórki, jej subtelna woń?
Mydło „PRZEMYSŁAWKA” ma jedyna broń...*

HIACYNTY

Ktoby nie lubił tych różnobarwnych, wonnych kwiatów, zwiastujących wiosnę, gdy wokół śnieg jeszcze leży? Kto nie pragnąłby zapachem ich wypełnić swe mieszkanie? Z jakim pożądaniem spoglądamy na nie przez szyby okien wystaw sklepowych, i często — z jakim żalem kroczymy dalej, bo one w sklepach tak drogo kosztują!

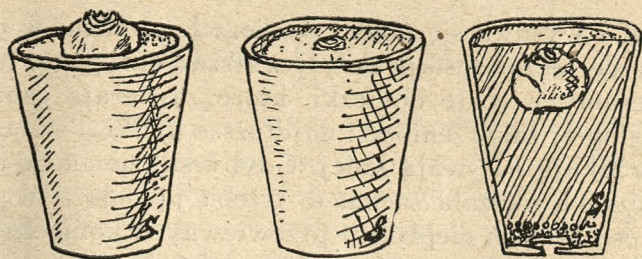
Istotnie. Sporo złotych trzeba wydać na hiacynty gotowe, wypędzone. Nie każdy może sobie dziś na to pozwolić. Ale łatwiej może będzie wydać kilkanaście, lub kilkadziesiąt złotych w jesieni na kupno pewnej ilości dobrych cebul, które potem w domu można stopniowo doprowadzać do kwitnienia i cieszyć się nietylko z posiadania hiacyntów, ale i z wyników własnych zabiegów, uwieńczonych powodzeniem.

Prawdziwa miłośniczka ogrodnictwa stokroć woli choćby mniej pozorną roślinę, lecz wypielegnowaną własnymi rękami, niż wytworny okaz, dostarczony w stanie gotowym ze szklarni. Tem cenniejsze są własne rośliny, gdy jakością nie ustępują kupnym. A takie właśnie wyniki łatwo osiągnąć, hodując w domu hiacynty.

Zaczyna się pracę od nabycia cebul. Ale nie takich najtańszych, drobnych, ofiarowywanych przez mało solidne firmy „po cenach konkurencyjnych”. Te nie oplacają się nigdy, a przeciwnie, staną się źródłem zawodów, rozczarowań i zniechęcenia. Jak przy kupnie nasion trzeba wybierać tylko najlepsze, choćby były nawet znacznie droższe, tak samo przy nabyciu cebul tylko najlepsze dają gwarancję, że pieniądze nie zostały wydane na marne. Bo w cebuli hiacyntowej tkwi już gotowy zawiązek kwiatu. W słabej cebuli może się pomieścić tylko zawiązek słabego kłosa, a obfity, o wielkich dzwoneczkach, może zawierać tylko cebulka pierwszorzędna. Tania być nie może, bo ją w Holandji przez trzy lata hodowano, zanim stała się zdatna do pędzenia w doniczce, ale kwiat wyda okazały.

Sprowadzanie cebulek bezpośrednio od hodowców z Holandji zasługuje na polecenie tylko przy większym zapotrzebowaniu. Drobne zamówienia sprawiają firmom w sezonie tyle zachodu, że niechętnie je załatwiają i często je lekceważą. Nadmiar tego przybyszą dość znaczne w stosunku do wartości towaru koszty opakowania, wysyłki, portu, cłenia i dostawy do domu, wskutek czego lepiej oplaca się zamówienie czy nabycie kilku cebulek w której z solidnych firm krajowych, sprowadzających cebulki w dużych ilościach od najpoważniejszych hodowców zagranicznych.

Zakup i sadzenie cebulek hiacyntowych do doniczek odbywa się w ciągu września i pierwszej połowy października. Do gruntu sadi się je przed mrozami, żeby w jesieni nie wypuściły liści nad powierzchnię ziemi. Cebulki wcześniej kupione należy



Cebulka hiacyntowa posadzona:
za płytko prawidłowo za głęboko

wyjąć z paczki i rozłożyć jedną warstwą w miejscu chłodnym, przewiewnym, bo w opakowaniu mogą zapleśnieć, lub zgnić. Zaniedbanie tego bywa jednym z powodów niepowodzeń.

Doniczki do hiacyntów powinny być wysokie, stosunkowo wąskie, specjalne t. zw. hiacyntowe. Chodzi o to, żeby korzenie mogły swobodnie przenikać w głąb, a zarazem, żeby doniczka nie zawierała nadmiernej ilości ziemi, w której gromadziłaby się wilgoć, przekraczająca zapotrzebowanie rośliny. W braku takich doniczek można użyć zwykłych, byle nie za obszernych. Na dno trzeba położyć co najmniej jedną skorupę w celu zakrycia otworu odpływowego, a na skorupkę warstewkę piasku ziarnistego. W braku piasku należy wytworzyć drenaż z kilku skorupki, bo gdy woda nie ma odpływu, to cebulka łatwo podlega gniciu, a wtedy łodyga kwiatowa albo pozostaje krótka, ukryta między liśćmi (siedzi), albo dzwoneczki się nie wykształcają.

Cebulkę należy umieścić w doniczce tak, żeby jej wierzchołek znajdował się narówni z powierzchnią ziemi, która powinna być dość mocno uciśnięta, ale nie nadmiernie ubita. Jakość ziemi nie odgrywa znaczniejszej roli, gdyż kwiat jest już w cebuli gotowy, więc ziemia stanowi raczej tylko środowisko i magazyn wilgoci. Zatem dobra ziemia gruntowa, niezbyt lekka liściowa, lub darniowa, czy kompostowa z piaskiem, nadają się do sadzenia cebulek hiacyntowych. Po posadzeniu ziemię trzeba poleać, a następnie doniczki przenieść do piwnicy, albo do inspektu zimnego, czy do zamkniętej szopy, wykopać tam zagłębienie, ustawić w niem doniczki jedną obok drugiej, i zasypać ziemią na grubość co najmniej 10 cm. ponad górną krawędź doniczki. Takie zadolowanie ma na celu zabezpieczenie ziemi przed wysychaniem i zapewnienie cebulkom równomiernej, niskiej temperatury, w której spokojnie będą wykształcały korzenie.

Trwa to zwykle do Bożego Narodzenia, lub dłużej, zależnie od tego, kiedy cebulki zostały posadzone. To też kto chce, żeby hiacynty wykwiwały stopniowo przez czas dłuższy, może i sadzenie posiadanych cebul rozciągać na parę tygodni. Zwykle jednak koło Bożego Narodzenia cebulki mają bryłą korzeniową mocno przekorzenioną i obfity zwój korzeni na dnie doniczki, co łatwo sprawdzić, zdejmując doniczkę z bryły. Równocześnie rozwija się też

kiel i wysuwa się ponad powierzchnię ziemi w doniczce, lecz pozostaje okryty warstwą nasypaną. Wybieramy więc te doniczki, które zawierają cebule najlepiej zakorzenione i najdłuższe kielki. Pozostałe czekają na swoją kolej. Gdyby się ziemia w doniczkach okazała sucha, to trzeba ją polać. W pomieszczeniach ciepłych i przewiewnych konieczność polania może nastąpić nawet wcześniej.

(d. n)

Stan. Schönfeld.



GRZYBOWE PRYZSMAKI

Mamy obecnie wymarzony sezon grzybowy!

Grzybów najrozmaitszych w bród, za wyjątkiem... borowików, które z roku na rok wytepiamy coraz bardziej jedynie nierozsądnym zwyczajem przycinania ich przy ziemi w mniemaniu, że z pozostawionego „korzenia” wyrośnie grzyb nowy. Warto by genialnemu wynalazcy tej teorii uciąć głowę, w mówiący w niego wprzód, że mu z zostawionej cało szyi wyrośnie druga głowa... mądrzejsza!

W braku borowików więc weźmy się do tych doskonałych grzybów, których chęć ludzka dotąd nie wyniszczyła.

Idźmy w las. Oto po obu stronach ścieżki, poprzerastanej trawą, istne grzybie wojsko! Jeden przy drugim, jakby defilada przednich straży grzybowej armji naszych lasów! Grzybki to niewielkie, o kapelusikach płasko-poduszkowatych, pięknie zamszowatych, szaro-brunatnych; spód kapelusza drobno dziureczkowany, miękki, żółto-zielonawy, trzonek niewielki, stosunkowo cienki, zwykle wykrzywiony, płowo-brunatny. Mięso białe, natychmiast zielenieje. Grzyb ten zwie się kozaczkami, albo kozakiem zajęczym, albo zajęczkiem; słusznie, bo ulubioną jest strawą zajęcy, których zęby nieraz ślady na czapce zostawiają. Podobnego trującego niema. Mimo to u nas nikt go nie bierze z racji, że zielenieje.

Wejźmy w głąb. Pośród starych świerków, czy sosen, na gołym, suchym, nieoprzerastanym trawą igliwiu, znów wojsko! Armja tym razem skupiona, lub porozrzucana bezładnie; składa się zaś czasem z kilku, a nawet i kilkunastu tysięcy żołnierza! Bagatela! jest z czego brać, a brać warto! Niby to nic, bo trzoneczek czarny, twardy, elastyczny, nie grubszy od włosia końskiego, lub szczeciny, które silnie przypomina. Kapelusik jak grosz, lub dwugroszówka, białawy, lub brunatnawy, matowy; spód kapelusza wachlarzykowaty, o listewkach białych, szeroko od siebie rozstawionych. Na kilo grzybków takich wyjdzie około 10 tysięcy. Więc powiecie: — Po-

cóż to brać? — prawda? A tymczasem... we Francji lubią go do łakomstwa, nazywając „mousseron”, u nas zwą go czosnaczkami, ale zbierają i używają rzadko gdzie.

A tu znów co? Grzybisko ogromne, niby rydz, ale znacznie większy, twardy cały, a kruchy. Ledwo go gdziekolwiek uszczkniesz, a już leje się zeń — dosłownie! — ciurkiem białe, gęstawe mleczko. Skosztuj je! słodkawe, mile orzeźwiający. Ale ostrożnie z gorsek koszuli, z bluzeczką! O, pokapało się! Zrazu nic, ani nie znać; ale za pół godziny plama już brunatna i czysta, pierz, czem chcesz, nie wycyścis!

Kapelusz u młodych płaskawy, o brzegu mocno wyokrąglonym, zagiętym; u starszych osobników bardziej już płaski; zawsze jednak równie gładki, matowy, twardy a kruchy, barwy wyraźnie palonej cegły. Blaszkki pod kapeluszem znacznie jaśniejsze, również twarde a kruche, trzonek tak samo, równo obły, gładki, barwy jak kapelusz. Zna go u nas lud wszędzie, zwłaszcza w górach. Zrewidujcie kieszenie górskich pastuszków! Zawsze znajdziecie w nich pełno owych grzybów, stanowiących całodzienne pożywienie „biednych” pastuszków. Lecz, czy naprawdę biednych? Och, jem ja te grzybki dzień w dzień w lesie na surowo! Lekarze nakazują dietę, Naftusię, Marysię, a ja sobie przy tem po 6 do 10 grzybków tych na surowo. To moje całe drugie śniadanie i — ba! jakie! Nie zazdroszczę ja Wam przedzierania się przez gęstwy leszczyny i chrupania z trudem zdobytych orzeszków! Wolę moje „krówki”, bo i smaczniejsze, choć podobne w smaku do orzechów, i strawniejsze, i pożywniejsze o wiele, a nade wszystko znacznie łatwiejsze do zdobycia, bo schyl się tylko, a słodka „krówka” już w ręce! Jakież to cudowny dar Boży!

„Krówką” nazwał grzyb ten lud z racji, że tak obficie ocieka słodkim mleczkiem. Jest bratem rydza, a wszędzie o wiele odeń pospolitszy. Jedną ma tylko wadę: oto jeść da się jedynie na surowo; bo gotowany, pieczony, czy kiszony gorzknieje. Zresztą poco go gotować, kiedy surowy najsmaczniejszy?

A teraz przypatrzmy się, co z grzybków tu wymienionych można zrobić. Zatem:

Szpinak grzybowy z zajęczków. Zbierz odpowiednią ilość młodych tych grzybków, obmyj je szybko w zimnej wodzie, (nie parz ukropem, nie ściągaj skórki, nie wykrawaj spodu kapelusza, bo to straszliwe przesady!), przetrzyj je przez sito włosienne (broń Boże metalowe!) na delikatną papkę, tę włóż do kamiennego (broń Boże metalowego!) garnka i duś bez żadnego dodatku pod przykrywką na wolnym ogniu tak, by przez 15 minut wrzała. Następnie podlej dobrem, świeżym masłem, duś znów 5 minut, wreszcie podlej odrobiną dobrej, kwaśnej śmietany, rozkłóconej ze szczyptą mąki i duś znów 5 minut. W końcu rozetrzyj w tem ździebelko czosn-

ku, wymieszaj, posól do smaku i dawaj zaraz na stół.

Szpinak pycha! Zielenusienki, mięciuchny, przesmaczny, pożywny!

Kto nie lubi czosnku, niech doda cebuli (a raczej smaku z czosnku lub cebuli); kto i tego nie lubi, niech zakropi lekko cytryną.

Sos czosnkowy do sztuki mięsa. Oczywiście nie z czosnku, który brzydko się przypomina, lecz ze smaczniejszych odeń czosnaczków, które skutków takich nie wywołują i dlatego tak są cenione we Francji.

Czosnaczkę obmywszy w zimnej wodzie, posiekaj drobno wraz z trzoneczkami, włóż w kamienny garnek, zalej mlekiem i gotuj pod przykryciem na wolnym ogniu tak, by wrzały 15 minut. Potem dodaj odpowiednią ilość dobrej, kwaśnej śmietany, rozbitej z odrobineczką mąki, gotuj do podgęstnienia, w końcu posól do smaku i wlej w sosjerkę.

...Tylko nie zrób tak, jak moi kuzyni, którzy mieli z przyniesionych przeze mnie czosnaczków zrobić sos na kolację. Zrobili... ale kiedy przyszedłem na kolację, sosu nie było już ani śladu!

Salatka z krówek. Weź odpowiednią ilość młodych, zdrowych krówek, obmyj je szybko w zimnej wodzie, a ostrożnie, by ich nie pokruszyć, poobcinaj końce trzoneczek, pokraj na cienkie plasterki, wyłóż zaraz na salaterkę, wysól do smaku, po 5 minutach pokrop obficie sokiem z cytryny i obłóż świeżo krajaną cebulką. Kto lubi, może oblać jeszcze dobrą, świeżą oliwą.

Salatkę tę podawać do pieczystego lub do mięsiwa zimnego.

Nie radzę jednak na obiad czy śniadanie z taką salatką zaprosić Anglika lub Francuza, by „pere! przed wieprze nie rzucić”.

Kto z Szanownych Czytelniczek (ków) pragnie zaabonować się na 365 menu podobnych, niech nadesłane na pocztówce deklarację, że zakupi moją „Kuchnię grzybową”, która — jeśli Bóg da — wyjdzie z druku za kilka miesięcy. Cena będzie przystępna, a treść — bardzo smakowita!

Prof. Feliks Teodorowicz, Truskawiec-Zdrój.

KUKURYDZA

Jeżeli latem, w Polsce całej, od Karpat aż po Bałtyk i od Śląska aż po północną Wileńszczyznę, nie brak jarzyn świeżych i najzjadlejszy jarosz dogodzić sobie może, — zupełnie inaczej jest zimą. Pozostają nam marchew i buraki, no i kapusta. Mówię o szerokich masach ludności, nie posiadających własnych ogrodów, inspektów, ani cieplarni, a nawet dobrych, suchych i nieprzemarzających piwnic, gdzieby można było przechować różne delikatniejsze jarzyny i wybielić zimowe salaty, kardy, selery liściaste. Wszystkie te bogate w witaminy jarzyny, wraz z karczochami, jedzonymi we Francji i Włoszech na surowo, stanowią codzienne pożywienie ludności obu tych krajów. Że i u nas ich użycie przyjęłoby się — gdyby ich było więcej i były bardziej dostępne w cenie, — to pewne. Dowodem tego są pomidory i kalafjory. Przed laty dwudziestu pomidorową salatkę spotykano tylko na bardzo wykwintnych stołach, pomidorowa zupa i sos były uważane za przysmaki i używane li tylko w zamożniejszej klasie. Obecnie pomidorami jesień całą zajada się po miastach i miasteczkach najuboższy wyrobnik, a wykwintniejsza kuchnia wzbogaciła się w niezliczone sposoby przyrządzania pomidorów, jako dodatki do mięs i ryb, jako przystawki, jako dania samodzielne. To samo się dzieje z kalafjorami. Podmiejscy badylarze, bo, nawet zwykli gospodarze plantują ich takie olbrzymie ilości, że w najbiedniejszych dzielnicach miasta, gdzie każdy grosz się trzy razy rachuje, zanim się go wyda, w godzinach obiadowych ze wszystkich okien bucha zabójczy zapach tej wybornej jarzyny. I sami producenci jej, włościanie podmiejscy, którzy przed wojną o jedzeniu kalafjorów słyszeć nie chcieli, uważając je za niesmaczne i mało pożywne, teraz przy targu zajadłym z nabywcą, odgrają się, mówiąc: „odwiożę do domu i sam zjem! Albo to moja baba ich ugotować ze słoniną nie potrafi!”

Jednak do chwili, aż będziemy mogli przechowywać świeże jarzyny przez zimę całą i to w takich ilościach, aby były dostępne dla szerokich warstw społecznych, musimy sobie radzić konserwami z nich i suszem. W susz zaopatrzyć się może każdy właściciel ogrodu lub nawet każda gospodyni, kupująca jarzyny we właściwym sezonie i susząca je na blasze, pod blachą, na słońcu, w cieniu i t. p., jak się jej podobą i jest dogodniej. Mówię oczywiście o suszeniu na własny użytek. Gorzej jest z konserwami. Fasolkę zieloną i szparagową, koperek, szczaw, botwinę (młode łodygi buraków), pomidory można zasolić, bądź zakonserwować w butelkach. Konserwatory Weck'a, nawet krajowe, są dosyć kosztowne w większej ilości i nie każdy ma możliwość z nich korzystać, chociażby dlatego, że sezon konserwowania jarzyn wypada w czasie wywezasów letnich, kiedy gospodynie



dla poratowania zdrowia lub odpoczynku własnego i dziatwy przebywają poza domem.

Tutaj z pomocą przyjść musi fabryczna produkcja konserwów. Jest ona u nas w kraju bardzo rozwinięta. Wyroby krajowe nie ustępują wcale zagranicznym, niestety, jak dotąd, nietylko co do jakości, lecz i — co do ceny. Brak im jednak rzeczy jednej — różnorodności. Mamy więc groszek i fasolkę, karotkę i szparagi. Te ostatnie zawsze bardzo drogie. Kardy i denka karczochów dotąd kupujemy przeważnie zagraniczne. Nawet młodej kalarepki, która przecież dużo smaczniejsza i delikatniejsza jest od marchwi, — znaleźć w konserwie nie sposób.

A o jednej wybornej i ogromnie taniej jarzynie panowie fabrykanci konserw zupełnie zapomnieli. Mówię tutaj o kukurydzy. Bajecznie tania w Małopolsce i na Wołyniu, tak staje się droga, nawet już w Warszawie, — nie mówiąc już o Wilnie, Grodnie, lub zupełnie jarzyn pozbawionej Gdyni, że jest tam wszędzie uważana za artykuł zbytku. Nie wiem czemu to mam przypisać, lecz nie sądzę, aby transport kukurydzy był aż tak kosztowny, że biała kulka cukrowej kosztująca na targu we Lwowie dwa do pięciu groszy kalkuluje się pięćdziesiąt w Warszawie. Sądzę jednak, że na tej kukurydzy może zrobić wspaniały interes ta z małopolskich fabryk konserw, która nie zwlekając, tej jesieni jeszcze, zacznie wyrabiać z łuskanej, młodej kukurydzy, konserwy takie same, jak z młodego groszku. Przed wojną Ameryka zasypywała Europę takimi konserwami. Zwały się one „Pop-corn“ i były wyśmienite, a tak tanie, że w drogim a dalekim Petersburgu, puszka ich półkilowa kosztowała 25 kopiejek. W Zachodniej Europie są te konserwy i obecnie w handlu, tylko do nas nie dochodzą. Chciałam popробować wyrabiać je w domu w słojach Weck'a. Niestety, przy stołecznych cenach wypadłyby one drożej od włoskich kalafjorów lub paryskich karczochów. W Małopolsce, gdzie kukurydza jest za becen, możnaby konserwy z niej wyrabiać po cenach niższych od cen konserw z groszku. A nowy rodzaj jarzyny dostępnej w cenie byłby prawdziwym dobrodziejstwem dla gospodyń, którym lekarz każe odżywiać rodzinę jarzynami, a zimowe ceny tych jarzyn uniemożliwiają wykonanie tych przepisów.

Panowie producenci konserw jarzynowych, a żeby który tak, nie odkładając tej jesieni jeszcze zechciał popробować wyrabiać Pop-corn krajowy.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

BEFSZTYKI GRZYBOWE

Bardzo duże, lecz jędrne grzyby prawdziwe, ugotować z włoszczyzną, solą, pieprzem i listkiem, uważając jednak, aby się nie rozgotowały. Smak taki można użyć na zupełną zabielań lub nawet dodać doń łyżkę masła i ugotować na tem smaczną, czystą kartoflaną. Same grzyby rozłożyć na sicie aby dobrze ociekły i ostygły. Gdy są zupełnie zimne osolic je jeszcze raz, utarzać w mące, w jajku rozbitym, nakoniec w bułeczce i smażyć na szmalcu lub fryturze. Oddzielnie lub w tymże tłuszczu zrumienić sporo pokrajanej w płatki cebuli. Obłożyć takimi befsztykami purée kartoflane i przybrać półmisek straganym chrzanem. Można też smażyć befsztyki z dużych, jędrnych grzybów, nie gotując ich naprzód. Należy je jednak smażyć znacznie dłużej i jeszcze z patelnią wsadzić w gorący piec na kilka minut, aby dobrze doszły w środku.

GALARETA Z MELONA

Trzydzieści deka dojrzałego, aromatycznego melona utrzeć na tarce wraz ze skórą, wrzucić w gotujący się syrop z trzydziestu deka cukru i dwóch szklanek wody, gotować przez dziesięć minut wolno, precedzić przez gęste sito lub muslin i wycisnąć dobrze. Dodać tyle wody, aby było cztery szklanki płynu. Wymoczyć w zimnej wodzie jedenaście listków białej i jeden listek czerwonej żelatyny. Wcisnąć do galarety sok z pół cytryny lub wrzucić pół kawianej łyżeczki soli cytrynowej (kwasku), rozpuścić w niej żelatynę i zlać do formy. Można zamiast w formie zastudzić ją w salaterce porcelanowej lub kryształowej. Do kryształowej salaterki zlewać galaretę nawpół ostygłą, aby salaterka nie pękła.

Pani Elżbieta.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnoślaska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymarska 8, tel. 244-18.